

W NUMERZE:

Aleksander Jański

O BIŁGORAJU

ZYCIE

PO KOLEI

Ireneusz J. Kamiński

WYMALOWANA

JAK STARE MIASTO

Karol Majewski

Zapomniane obrzędy



ROK ZAŁOŻENIA 1933

# KAMENIA

LUBLIN 23 III 1975 Nr 6 (570)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Fotografujcie wiosnę!

Fot. W. Stępień

## Autentyki, kopie, falsyfikaty

# KUP PAN STAROCIE!

Stanisław Witucki

**K**OLEKCJONERSTWO I związany z nim handel dziełami sztuki stały się na nowo modnym sposobem gromadzenia zysków i lokowania kapitałów. Polski rynek handlu zabytkami obudzony przez Desę, dogonił swą powszechnością zagranicznych pobratymców. Muzea, gromadzące nie tylko bezcenne dzieła sztuki, ale także większość materialnych przejawów działalności człowieka, coraz częściej sygnalizują zanikanie formy darowizny na rzecz sprzedaży. Przeciętny obywatel wie, ile kosztuje autentyczny „Cybis” czy rzeźba współczesnego rzeźbiarza. Nie waha się z podaniem ceny cukiernicy warszawskiego złotnika, czy ludowej figurki Chrystusa Frasobliwego. O huśtawce na antykarskiej giełdzie cen informują go precyzyjnie katalogi składowe Desy.

Moda na antyki spowodowała także wzrost zainteresowania kolekcjonerstwem indywidualnym. Szczególną plenności wykazuje zbieractwo „chłupnicze”, legalizowane ostatnio pod postacią klubów kolekcjonerskich. Większość tej zabytkolubnej „szarańczy” przestała zwracać uwagę na warto-

ści artystyczne zbieranych przedmiotów, interesuje ją wszystko, co choć trochę przypomina starocie, a najczęściej wymienianym powodem zbieractwa jest zysk.

Jednocześnie rośnie podaż dzieł sztuki mimo przewidywanego spadku ich ilości, spowodowanego naturalną selekcją czasu, czy też gromadzeniem zabytków w formie kolekcjonerstwa nierotacyjnego. Najpoważniejszą rolę w „zubażaniu” ilościowym rynku odgrywają niewątpliwie muzea, gromadzące zbiory bez zwrotnego wprowadzania ich na rynek. W związku z tym nasuwa się pytanie, w jaki sposób uzupełniana jest, a nawet podnoszona liczba zabytków, przeznaczonych do sprzedaży na rynku kolekcjonerskim? Optymiści — w rozkosznych majakach widzą nowo odkrywane skarby. Pesymiści — na razie ostrożnie zwracają uwagę na powiększanie się liczby falsyfiatów, łatwych do identyfikacji, sugerując jednocześnie możliwość istnie-

Dokończenie na str. 8

## Spotkanie z T. S. Eliotem

Henryk Zins

nią obcowaniu, nagradzając trud przorywania się przez jej zawilę tekst, opatrzone przez autora licznymi przypiskami i komentarzami, ułatwiający orientację w aluzjach i cytatach, pochodzących z rozległego bardzo obszaru naszej kultury, od Upaniszadów,

Owidiusza, św. Augustyna, Dantego i Szekspira poczynając, świadczących o złożonych źródłach i drogach formowania się struktury intelektualnej Eliota.

Dokończenie na str. 7



T. S. Eliot — poeta angielski

**T**HOMAS S. Eliot fascynował mnie od dawna. Już sama sylwetka tego największego może poety XX w. budziła uznanie i przykuwała uwagę. Znana fotografia T. S. Eliota, powtarzana w różnych wydawnictwach, utrwalała postać elegancko ubranego przystojnego mężczyzny w średnim wieku, o wspaniałym wyrazistym i wydatnym profilu, męskich rysach, sugestywnym i olimpijskim wyrazie twarzy. Tak odebrałem Eliota z jakiegoś ilustrowanego wydania historii literatury angielskiej w młodych swoich latach, zanim cokolwiek jeszcze wiedziałem o jego roli w poezji i krytyce literackiej. To pierwsze spotkanie z Eliotem wywarło jednak na mnie tak duże wrażenie, że ilekroć przeglądałem ilustrowane wydania historii literatury angielskiej, zawsze szukałem w nich dobrze znanego profilu autora „Czterech kwartetów”. Później niż portret zafascynowała mnie poezja Eliota, z którą zetknąłem się w latach ostatniej wojny. W okresie nocy okupacyjnej czytałem dla „Ziemię jałową”, która owocowała dla mnie jednak dopiero po dłuższym z

## Przede wszystkim gospodarka

**W** LUBLINIE obradowała 12 marca XV Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR. Dokonała ona oceny dorobku lubelskiej organizacji partyjnej i całego naszego regionu w okresie ostatnich dwóch lat, wytyczyła główne zadania na rok bieżący oraz wybrała nowe władze wojewódzkiej organizacji partyjnej. I sekretarzem KW został ponownie Piotr Karpiuk. W skład Egzekutywy KW weszli: Jerzy Andrzejewski, Zofia Bora, Henryk Czarnota, Paweł Dąbek, Romuald Jankowski, Piotr Karpiuk, Jan Kołodziej, Stanisław Mantiya, Tadeusz Mizera, Wiesław Skrzydło, Ryszard Socha, Mieczysław Stępień, Henryk Świdorski, Władysław Walezykiewicz, Stanisław Włoch, Ryszard Wójcik i Jan Zawisłak.

Wśród gości, którzy przybyli na Konferencję, był członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier, minister Kultury, Józef Tejchma.

Obszerne sprawozdanie z obrad zamieścił „Sztandar Ludu”.

Delegaci otrzymali „Sprawozdanie z działalności Komitetu Wojewódzkiego PZPR w latach 1973—1974”. Z materiałów, zawartych w tym dokumencie, warto zwrócić uwagę na problematykę kulturalną.

Sprawozdanie stwierdza, że zawodowe placówki artystyczne częściej sięgały po wartościowy repertuar oraz wystawiały utwory o akcentach patriotycznych i ideowych. Mimo wzrostu roli podstawowych organizacji partyjnych w inspirowaniu działalności programowej tych placówek, wprowadzanie repertuaru zaangażowanego nie może jednak w pełni zadowalać.

Rozszerzyły się kontakty środowisk artystycznych z zakładami pracy i wsią. Należy tu wymienić m. in. rozwijające się kontakty z zakładami produkcyjnymi Państwowego Teatru im. J. Osterwy, Państwowej Filharmonii, Towarzystwa Muzyycznego, współpracę artystów z zakładami przemysłowymi oraz spotkania twórców, naukowców i artystów w różnych środowiskach. Poważną rolę w tym zakresie spełnia realizacja przyjętego w 1974 r. programu „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką”.

Ważną funkcję kulturotwórczą odegrali w środowisku wiejskim „Dni Miejscowości”, festyny i turnieje miejscowości. Wyzwały one również inicjatywy mieszkańców w realizacji czynów społecznych i gospodarczych. Do powszechnych form, mających na celu aktywizację społeczno-kulturalną wsi, należały cykle imprez, jak „Szkoly życia”, „Rodzina w klubie” czy konkurs na najlepszy klub.

Ukierunkowaniu działalności kulturalno-oświatowej służył opracowany w 1973 r. „Program rozwoju kultury na lata 1973—1990”. Wiąże on harmonijnie działania organizacyjne i inwestycyjne w zakresie kultury z rozwojem gospodarki i nauki oraz ujmuje rolę kultury w kształtowaniu socjalistycznych postaw społeczeństwa.

Postępujące zmiany jakościowe w dziedzinie tworzenia i upowszechniania kultury znalazły odbicie we wzroście rangi kulturalnej województwa. Duży sukces propagandowy i artystyczny przyniosły prezentacje Lubelszczyzny w ramach „Panoramy kulturalnej XXX-lecia” w Warszawie. Stała pozycja w centralnym kalendarzu imprez artystycznych mają lubelskie inicjatywy — Międzynarodowe Forum Filmowe „Człowiek—Praca—Twórczość”, Studencka Lubelska Wiosna Teatralna, Ogólnopolska Wystawa Plastyki „Przeciw wojnie”, Festiwal Filmów Rolniczych, Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych, ogólnopolskie spotkanie amatorskich tea-

trów lalkowych, Festiwal Pieśni Partyzanckiej, Festiwal Młodych Skrzypków i plenery plastyczne w Kazimierzu.

W latach 1973—1974 nastąpiła pewna poprawa bazy dla działalności kulturalnej. Oddano do użytku zespół szkół muzycznych, zmodernizowano pomieszczenia Zamku dla potrzeb Muzeum Okręgowego, wybudowano dom kultury na LSM-ie, stację przekątnikową II programu TV, dokonano modernizacji obiektów MDK w Lublinie, uruchomiono trzy nowe kina, a dziewięć zmodernizowano. Do użytku przekazano amfiteatr w Zamościu, pięć wiejskich domów kultury, trzy świetlice wiejskie i cztery gminne ośrodki kultury. Ponadto rozpoczęto budowę gmachu teatru i filharmonii w Lublinie.

Sprawozdanie podkreśla, że nadal wiele miast powiatowych, środowisk robotniczych i wiejskich nie dysponuje właściwą bazą lokalową.

Nie problemy kultury — co jest rzeczą samą przez się zrozumiałą — stanowiły jednak główny akcent obrad Konferencji. Dominowały problemy gospodarcze. Jak podkreślił I sekretarz KW, Piotr Karpiuk, uchwały XV Plenum KC, dotyczące rozwoju kompleksu żywnościowego, i decyzja Biura Politycznego w sprawie budowy Lubelskiego Zagłębia Węglowego otwierają przed województwem nowe, nie spotykane dotąd możliwości i perspektywy, których urzeczywistnienie w znacznym stopniu zależy będzie od działalności naszej organizacji partyjnej, od postawy i zaangażowania jego mieszkańców. Wszystko wskazuje na to, że w okresie najbliższych dziesięciu lat Lubelszczyzna będzie najszybciej rozwijającym się rejonem kraju. Z myślą o tej perspektywie Komitet Wojewódzki podjął wyprzedzając i realizuje szereg problemów, związanych przede wszystkim z kształceniem kadr i perspektywiczną koncepcją rozwoju rolnictwa w warunkach powstawania nowej, potężnej aglomeracji przemysłowej i dalszego rozwoju ośrodków istniejących.

Z referatu Piotra Karpiuka warto odnotować pewne fakty:

Pomyślenia i ze znacznym wyprzedzeniem realizujemy zadania w przemyśle. Sprzedana produkcja przemysłowa liczona w cenach bieżących wzrosła w ciągu czterech lat ponad 75 proc., a dotychczasowe przekroczenie zadań, w stosunku do planów rocznych, sięga 18 mld złotych. Już w ub. r. uzyskaliśmy produkcję wyższą o 10,5 mld zł od przewidzianej na koniec 1975 r. Istnieją realne szanse na to, aby w okresie bieżącej pięcioletki osiągnąć dwukrotnie wyższe tempo wzrostu produkcji przemysłowej w stosunku do założonego w planach.

W stosunku do planu pięcioletniego z nadwyżką realizowane są także zadania w rolnictwie. Nie wykonaliśmy jednak zadań dodatkowych, postawionych przez XIV Wojewódzka Konferencję, bowiem w ub. r. nie osiągnięto poziomu produkcji globalnej rolnictwa przewidywanego na 1975 rok. Wpłynęły na to m. in. niekorzystne warunki atmosferyczne.

Znaczenie powyżej planu wzrastały nakłady inwestycyjne. W całej pięcioletce zainwestujemy w województwie ponad 62 mld złotych, czyli o 30 proc. więcej niżby to wynikało z planu.

Z uznaniem należy odnotować wysoką dynamikę wzrostu dochodów ludności w latach 1971—1974. Wynosi ona ok. 60 proc., przy czym średnia płaca wzrosła o 38,4 proc. O 62 proc. zwiększyły

się obroty w handlu detalicznym i o 53 proc. usługi dla ludności.

Komitet Wojewódzki i komitety powiatowe partii prowadziły zdecydowaną walkę z przejawami różnego rodzaju cwaniactwa i nieuczciwości, nadużyciami gospodarczymi i łamaniem praworządności. W ostatnim czasie ujawniono wiele nadużyć w skupie produktów rolnych i w ich przetwórstwie, Sprawcy tych nadużyć ponieśli lub poniosą zastosowane kary, przy czym najostrejsze kary zastosowane będą wobec tych, którzy z tytułu pełnionych funkcji mieli obowiązek kontroli i nadzoru, a zamiast tego weszli na drogę przestępczych powiazań.

Jak podkreślił I sekretarz KW, w czasie kampanii sprawozdawczo-wyborczej przedyskutowano wiele problemów i spraw dotyczących całokształtu życia województwa. Egzekutywa pragnie zwrócić uwagę Konferencji na niektóre szczególnie istotne i najczęściej podnoszone problemy:

Pierwszym problemem są zjawiska zachodzące na wsi. Nadal szybko postępuje proces starzenia się wsi i wzrasta liczba zgłoszonych podań z prośbą o przejęcie ziemi za rentę. Rośnie liczba gospodarstw zaniebanych. Podkreślamy z całą mocą, że ze wszech miar popierać będziemy dobrze zorganizowaną, efektywną gospodarkę indywidualną. Jednocześnie nie ukrywamy, że pomagając perspektywicznemu gospodarstwu indywidualnemu, będziemy zmierzać do szybkiego przejęcia wszystkich gospodarstw mało efektywnych.

Drugi problem to budownictwo mieszkaniowe. W bieżącej pięcioletce dla ludności nierolniczej odanych będzie ok. 32 tys. mieszkań, co stanowi 24 proc. wzrostu w stosunku do poprzedniej pięcioletki. Budujemy coraz więcej, jednak liczba rodzin oczekujących mieszkań nie zmniejsza się i wynosi w miastach 60 tys. Najtrudniejsza jest sytuacja w samym Lublinie. Skuteczne rozwiązanie tego szczególnie ważnego problemu społecznego wymaga nadal dużego wysiłku skierowanego na uzbrojenie terenów i przekraczanie planów budownictwa mieszkaniowego.

Trzecia sprawa związana jest z sytuacją na rynku. Poważny wzrost dochodów ludności w ostatnich latach, wynoszący ok. 17 mld złotych, nakazuje traktowanie z całą uwagą sfery handlu i usług. W handlu wiele zmieniło się na lepsze, mamy szerszy wybór towarów, poprawia się zaopatrzenie i w zasadzie poza poważnym, powszechnie odczuwalnym niedoborem mięsa i jego przetworów — w innych grupach towarowych występują raczej braki asortymentowe. Nadal jednak poważnym problemem są kolejki, zabierające dużo czasu, traczonego na zakupy. Sądzymy, że dojrzała już sytuacja ku temu, aby skuteczniej ograniczać i tę uciążliwość codziennego życia.

Czwartą problemową sprawą jest zupełnie nowa sytuacja w zakresie zatrudnienia. Mamy ponad pięć tysięcy wolnych miejsc pracy. Dalszy szybki rozwój przemysłu, budownictwa, handlu i usług, a przede wszystkim budowa Lubelskiego Zagłębia Węglowego, znacznie zwiększy zapotrzebowanie na zatrudnienie. Zakłady, nie przejawiające odpowiedniej troski o swych pracowników, mogą mieć ciągłe kłopoty ze skompletowaniem załóg.

Przyjęty przez Konferencję program precyzuje zasadnicze kierunki pracy instancji i organizacji partyjnych.

(j)

## Krótko ze świata

Kolumbia nawiązała normalne stosunki dyplomatyczne z Kubą. Po Meksyku, Peru, Jamajce, Trynidad-Tobago, Barbadosie, Gujanie, Kanadzie, Argentynie, Panamie, Wyspach Bahama i Wenezueli jest to dwunasty kraj amerykański, który wybrał realistyczną drogę.

W Portugalii udaremnilo prawniczy zamach stanu. Z tej okazji prasa przypomina, że portugalskie siły zbrojne liczą obecnie w sumie 217 tysięcy ludzi, w tym armia lądowa 179 tys., lotnictwo — 18 500, a marynarka — 19 500.

Do galerii osób, dyskontujących finansowo rozgłos uzyskany w amerykańskich procesach sądowych w ostatnich latach, dołączył b. porucznik armii USA, William Calley, skazany swego czasu na karę dożywotniego więzienia za udział w masakrze w My Lai w Wietnamie (wyrok ten po apelacji został uchylony). Calley wygłosił na uniwersytecie Kentucky odczyt na temat wojny wietnamskiej. Otrzymał za to honorarium w wysokości

dwa tysięcy dolarów. Znacznie większe honoraria za wywiady dla telewizji otrzymują uczestnicy afery Watergate — po kilkanaście tysięcy dolarów.

Demokratyczny senator, Hubert Humphrey, oświadczył w wywiadzie telewizyjnym, iż dane wywiadu wskazują, że Stany Zjednoczone najprawdopodobniej nie będą

w stanie uratować rządu Lon Nola w Kambodży.

Tomasz Reed, dyrektor systemu łączności Pentagonu, stwierdził, że należy wydać 500 mln dolarów dodatkowo na rozbudowę nowego systemu komunikacji z okrętami podwodnymi znajdującymi się w głębokim zanurzeniu. Budowa systemu będzie wymagała położenia

2,5 tys. mil kabli oraz zainstalowania kilkudziesięciu radiostacji naziemnych.

Stany Zjednoczone i Iran zawarły porozumienie handlowe o rekordowej kwocie 15 miliardów dolarów. Pieniądze mają być wydane na zakup w USA ośmiu elektrowni atomowych, 20 fabryk domów, pięciu szpitali oraz wielkiego portu. Suma transakcji jest wyższa o miliard dolarów niż zakupy Iranu we wszystkich krajach EWG.

W Budapeszcie rozpoczął obrady XI Zjazd Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Wśród gości — sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Breżniew. Przed Zjazdem odbyła się ożywiona dyskusja, nie pozbawiona momentów krytycznych. Wskazywano, że w wielu jeszcze przypadkach poszczególne przedsiębiorstwa nie wykonują w pełni swych zadań, że unikanie odpowiedzialności wciąż jeszcze nie należy do wypadków wyjątkowych. Zdarzają się przypadki nieuczciwego zdobywania majątku ze środków nie związanych z pracą, a co gorsza — braku krytycznego stanowiska wobec tak postępujących ludzi. Wielu członków partii domagało się, aby w przypadku, gdy ma się do czynienia z „nowobogackimi”, z reguły zadawano pytanie: „skąd to posiadają?”

## Garmondem

**T**RAGICZNY wypadek na przejeździe kolejowym w Świdniku — 2 zabitych, 7 rannych w szpitalu, kilkunastu opatrzonych doraźnie — nasuwa smutne refleksje. Wiadukt budowany jest już trzy lata i wcale nie wiadomo, który z kolei „ostateczny” termin jego ukończenia będzie dotrzymany. W Warszawie w tym czasie wybudowano całą Wisłostradę, część Dworca Centralnego i wiele innych obiektów.

Sąd rozstrzygnie, kto i w jakim stopniu ponosi winę. Ale już wiadomo, że dróżnik nie o-

puścił zapory, a kierowca autobusu przed wjazdem na przejazd mimo otwartej zapory winien był zachować szczególną ostrożność. Jeden i drugi przez swoje działanie lub brak w łaciwego działania spowodowali tragedię, której skutków mimo wysiłków lekarzy nie udało się już zniwelować.

Jak wiele trzeba jeszcze uczynić, aby wszystkim wpoić wysokie poczucie odpowiedzialności. Nie ze strachu przed karą, ale z poczucia indywidualnego i społecznego obowiązku.

JOD

Trzynastego... — w jednym z popularnych (przed 8 laty?) szlagierów piosenkarskich stale powtarzało się to słowo. Trzynastkę powszechnie uważa się za liczbę pechową, ale kilkuosobowa grupa założycieli „Sztandaru Ludu” nie była najwidoczniej przesadna: pierwszy numer pisma ukazał się właśnie 13 marca 1945 roku.

Z E wzruszeniem ogląda się go dzisiaj, po trzydziestu latach. Jakże odbiega swym wyglądem od obecnego „Sztandaru”! Cztery małe stroniczki, ani jednego zdjęcia czy rysunku, kiepska winieta tytułowa. Ale jest coś co łączy tę pierwszą gazetę z dzisiejszą: artykuł wstępny. Czytamy w nim m. in.: *Towarzysze! Robotnicy i chłopie! „Sztandar Ludu” to wasza gazeta. Chcemy, byście nie tylko ją czytali, nie tylko, by wspierała ona was w waszych codziennych zmaganiach o odbudowę Polski siłnej i demokratycznej. Ale chcemy też, byście do gazety naszej pisali, by ona była wyrazicielem waszych trosk i nadziei, waszych bólów i walk. Chcemy, by ona była trybuną Lubelszczyzny, z której każdy uczciwy robotnik, chłop i inteligent mógłby głosić prawdę, prawdę ludu. Chcemy, by gazeta nasza rzeczywiście stała się sztandarem walki ludu o Polskę niepodległą, silną i demokratyczną.*

Gdy układano ten krótki program pisma, wojska radzieckie zdobyły — a mówi o tym pierwszy numer „Sztandaru” — twierdzę Kostrzyń (wówczas pisano Kistrzyn), wyzwoliły Tczew, Wejherowo i Fuck, a wojska amerykańskie, brytyjskie i kanadyjskie w rejonie miasta Wesel doszły do Renu. Japończycy stracili ponoć już połowę swej floty. A tymczasem w Polsce, o której ostateczny kształt ciągle jeszcze toczyły się walki, ukończono plan odbudowy mostu Poniatowskiego w Warszawie. Marszałek Stalin dał wyraz osobistego zainteresowania sprawą normalizacji życia w naszej stolicy przekazując dar w postaci 500 domków fińskich. Do Lublina przybył transport 240 wagonów zboża siewnego z ZSRR. Tak pogłębiała się przyjaźń polsko-radziecka.

Lublin prawie od ośmiu miesięcy oddychał już wolnością. Teraz odbyła się konferencja porozumiewawcza ZNP z udziałem członków czterech partii i stronnictw politycznych. Obecny był na niej minister Kultury i Sztuki Wincenty Rzymowski i kurator Krzemień. Ob. Ziolkowski, członek zarządu ZNP, wygłosił referat p.t. „Udział nauczycielstwa w dziele reaktywowania ZNP, i przebudowy szkoły polskiej”.

W poszczególnych zakładach pracy rozkręcała się produkcja. Szczególne osiągnięcia miała Lubelska Fabryka Obuwia. Krajalnia wykonywała dziennie 500 par butów, podobnie szwalnia, chociaż skóry twardej zaczynało już brakować.

Wieś przygotowywała się do siewów. Miały w tym pomóc traktory, nie było ich jednak wiele, dał się również odczuć brak samych traktorzystów. W trosce o nowy narzybek utworzono trzy szkoły dla specjalistów w tej dziedzinie — w Zamościu, Białej Podlaskiej i w Zemborzycach. Naukę podjęło ponad trzysta osób.

Rany, zadane przez hitlerowskiego najeźdźcę, były wszędzie widoczne, ciągle ujawniano nowe zbrodnie. Oto w czasie ewakuacji ludności polskiej z Warszawy w sierpniu i wrześniu 1944 r. grupa SS-manów na Służewcu zwróciła się z dobronliwie wyglądającym apelem, aby mieszkańcy dobrowolnie opuszczali kamienice. Obiecywano im nawet żywność i papierosy. Tych, którzy uwierzyli, Niemcy zamordowali w bestialski sposób.

O tym wszystkim właśnie, jak wspomniałem, można się było dowiedzieć, a dziś można sobie przypomnieć, w trakcie lektury pierwszego numeru „Sztandaru Ludu”. A z wewnętrznych spraw samej redakcji też co nieco przeniknęło do wiadomości ogółu: „Sztandar” poszukiwał reporterów, rysownika-karykaturzysty, kobiety do sprzątnięcia i kolporterów na prowincji. Ogłoszenie musiało przynieść efekt, bo bodaj tylko raz je powtórzono.

Dokładnie przejrzałem wszystkie numery gazety z tego pamiętnego marca 1945. Jakże bogactwo informacji! Jaka wszechstronność! I czasem... naiwność! Zrozumiała zre-

szta, biorąc pod uwagę ówczesne doświadczenie dziennikarskie.

Oto młodzież szkolna Lublina „z gimn. Kupców, Staszica i Unii” wystawia w Teatrze Miejskim komedię Fredry pt. „Damy i huzary”. Reżysent niezbyt chwali wykonawców, ale i sam wybór sztuki nie budzi w nim zachwyty. Pisze: *Na pewno każdy z „huzarów” daleko lepiej czułby się w mundurze Wojska Polskiego, do którego wzdychał niewątpliwie przez całe pięć lat okupacji niż w stroju huzara. Nie wiem, czy chodziło o wcielenie uczniów do wojska, czy też o wystawienie sztuki o współczesnej tematyce? Dzisiaj mamy z repertuarem kłopoty, można sobie łatwo wyobrazić jak było w 1945 roku!*

Strzały grzmiały nie tylko nad Odrą. Oto w numerze z 23 marca kilka nekrologów. Dnia 21 marca 1945 roku zginął tragicznie z rąk najemców zbirów hitlerowskich por. Fryderyk Unger w wieku 26 lat. Uczestnik walk 1939 r., obrońca Stalingradu, uczestnik walk nad Pilicą i o wyzwolenie Pomorza, kawaler Krzyża Walecznych...

Wstępniak pt. *Ohyda*, a po kilku dniach sprawozdanie z pogrzebu, który przerosł się w wielką manifestację antyreakcyjną...

Wspomniałem o wstępniakach. Ukazywały się one niemal w każdym numerze, niekiedy jako przedruk z centralnego organu KC PPR, „Głosu Ludu”, ale przeważnie były to artykuły napisane własnymi siłami. Pismo pozostało wierne programowi z pierwszego numeru. I tak np. w nrze z 25 marca stwierdzano: *Na wielu szczeblach naszej administracji znajdują się ludzie, którzy nie mogą, czy nie chcą zrozumieć, że wszystkie przemiany społeczne, które obejmujemy tym ogólnym mianem „demokratyzacja”, mają jedyny cel — dobro ludu pracującego...*



Jedna z dawnych winiet tytułowych „Sztandaru Ludu”

## TRYBUNA LUBELSZZCZYZNY

Marek Adam Jaworski



Nowy numer „Sztandaru” schodzi z maszyny rotacyjnej

Fot. J. Polski

Ale kultura kwitła. W Lublinie gościł z fortepianowym recitale Stanisław Szpinalski, mieli swoje wieczory autorskie i Juliusz Kleiner i Maria Rudnicka (ta sama, wieczna M. B-R.). Antoni Różycki wyreżyserował „Skizę” Zapołskiej w Teatrze Miejskim. Wystąpili m. in. Irena Malkiewicz i Jerzy Pichelski. Józef Nikodem Kłosowski, kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w rozmowie z przedstawicielem Polpressu podkreślił, że Wydział rozpoczął zakładanie powiatowych ośrodków krzewienia kultury i sztuki. *Ośrodek musi być tak pomyślany, by nie stwarzał namiastki sztuki, tj. sztuki amatorskiej na niskim poziomie artystycznym. Wydział dąży do zrealizowania hasła „Muzyka i pieśni dla szerokiego mas”. W teren wyjeżdża referent Wydziału, aby zakładać kapela i chóry. A mówił to, przypominajmy, gdy wojna jeszcze trwała!*

*Panowie ci, napchawszy sobie pełne gęby frazesami demokratycznymi, nie wykazują najelementarniejszej troski o potrzeby klasy robotniczej, o potrzeby ludu pracującego... Z tym wszystkim trzeba raz na zawsze skończyć... Związki Zawodowe powinny objąć szefostwo nad urzędem mieszkaniowym i nauczyć śpiących tam urzędników, którym ciągle wydaje się, że u nas jest nos do tabakierki, w jaki sposób rozstrzygać „kwestie mieszkaniowe”. Wyłonione komisje związkowe powinny ulica za ulicą przechodzić i ujawniać wielopokojowe mieszkania, zajmowane przez pojedyncze osoby o grubo wypęczanych portfelach. Nie można przecież tolerować by robotnicy oddający w ucziwej pracy swą krew i pot dla społeczeństwa, by profesorowie uniwersytetów, oddający cały dorobek swojej wiedzy ludowi gnieździł się w ciasnych brudnych pokojkach Tow. Kuszyk w*

waszym ręku ta sprawa. Czas z tym skończyć.

Gazeta nie zawsze używała słów dyplomatycznych. Jedną z dłuższych informacji zatytułowano: *Co się dzieje w lubelskim oddziale „Społem”? Pod sąd spekulantów i sabotażystów, złodziei grosza publicznego. Sprawa była poważna: remanent wykazany przez księgę zamkniętą rok operacyjny 1944 zamknięto 38 252 kilogramami mąki pszennej. Okazało się jednak, że w noc sylwestrową ta mąka w tajemniczy sposób zniknęła. „Społem” rozpoczęła nowy rok operacyjny przez wpisanie do księgi jedynie 309 kg mąki.*

Już w marcu 1945 „Sztandar” rozpoczął druk listów do redakcji. Nie były to teksty ugrzecznione! Posłuchajmy jednego:

*Zwołani na Konferencję Powiatową i Miejską Kierownicy Wydziałów Propagandy otrzymali przydział na nocleg od Wydziału Mieszkaniowego w domu przy ul. 1-go Maja 55 m. II dla 10 osób. Pismo to noszące nr 617/45 z 19 III 1945, a podpisane w zastępstwie kier. Wydziału Mieszkaniowego Szymańskiego przez osobnika o nieczytelnym podpisie, daje powód do myślenia z powątpiewaniem, czy to o stanie umysłu, czy o dobrych chęciach wystawiającego w. w kwit noclegowy. Okazuje się, że 10 kierowników wydziału, udając się na miejsce, zastali jeden mały pokój w pionicy, w którym przy umiejętnym kurczeniu ludzkiego ciała, można by pomieścić do dwóch osób. A ciekawe, ile pokoi ma zast. kierownika wydziału mieszkaniowego, w których mieszka? Czy to człowiek złośliwy czy sabotażysta?*

Uczestnik konferencji

Nie znalazłem obwinionego. Trudno mi powiedzieć, czy rzeczywiście był on człowiekiem złośliwym lub sabotażystą! Skłonny jestem raczej przypuszczać, że nie dopełnił obowiązków służbowych, nie sprawdził dokładnie. Ale co dostał, to dostał!

Nie on jeden, nie on jeden! Hurtem objechano raz dyrektorów w notatce pt. *Więcej inicjatywy! Z konferencji dyrektorów lubelskich zakładów pracy.*

*Dyrektorzy czekają — stwierdziło pismo — aż im ktoś surówce czy opał dostarczy do samej fabryki... Czekać nie wolno. Trzeba wykazać więcej inicjatywy, więcej energii. Łatwo wytykać komuś winę, zwałać ją na Dyrekcję Kolei, na Wydział Zaopatrzenia itd. — trzeba wziąć się do roboty samemu.*

Zapewne ta bezkompromisowość pisma zjednywała mu popularność i nowych czytelników. A swoją drogą wyżej poruszony problem i dzisiaj niezupełnie stracił na aktualności.

Tych rozważań o przeszłości „Sztandaru Ludu” nie mogę nie zakończyć osobistym akcentem. W 1946 roku otrzymałem dokument stwierdzający że jestem współpracownikiem pisma i że wszelkie władze proszone są o okazywanie mi pomocy przy zbieraniu materiałów. Jakże byłem dumny z tego papierka! Na jesieni 1947 r., zacząłem z ramienia AZWM „Zycie” redagować specjalny dodatek gazety „Sztandar Akademika”, a 15 kwietnia 1948 r. — jeszcze w czasach studiów uniwersyteckich — los związał mnie etatowo na dziewięć i pół roku pracy z tym pismem.

Lata te nie należały do łatwych, gdy przyjdzie (a już coraz, coraz bliżej...) czas wspomnień, warto będzie do nich wrócić szczegółowo. A jednak stale myślę o nich z rozręwnieniem. Zapewne takie same odczucie owaładnie w 2000 roku dziesięciu młodych pracowników „Sztandaru” — Stanisława Jadczyka, Annę Bocian, Jerzego Malinowskiego, Bronisława Kowalskiego i wielu innych. Zyczę im wszystkiego najlepszego na dziennikarskiej drodze. Kto stawia? Sądzę, że obecny redaktor naczelny, mgr Eugeniusz Mysłowski, Dyrektor Wydawnictwa, Tadeusz Fita, powinieli z tej okazji potrząsnąć trzosem! Czy przed trzydziestu laty był on już na świecie? Takim pytaniem zamknąłbym artykuł (zmieniając, oczywiście, „bvl” na „była”), gdyby Wydawnictwem sterowała... kobieta!

# ZYCIE PO KOLEI

W tej opowieści nie będziemy roztrząsać starego problemu, czy człowiek jest narzędziem historii, czy też ją sam świadomie kształtuje. Nie będziemy zastanawiać się, czy los człowieka zależy od konstelacji gwiazdnych, promieniowania kosmicznego, pochodzenia społecznego, indywidualnych cech charakteru, opatrności, obligacji pożyczek państwowych i biologicznej sprawności. Po prostu przedstawimy historię jednego życia. Jeśli dopatrzycie się w niej ogólniejszych prawidłowości, wasza sprawa.

**W** PIERWSZEJ połowie ubiegłego wieku żyło sobie w podwileńskim Nowogródku małżeństwo Stankiewiczów: jej było Tekla, jemu Wincenty. Na owalnej fotografii z rodzinnego albumu para ta przedstawia się typowo i znakomicie. Pani Tekla w białym czepcu na głowie, spadającym dwoma białymi wstęgami na piersi, ma wzrok tyle skupiony co zatroskany. Pan Wincenty — oczywiście, na pierwszy rzut oka widać, że to szlachcic szaraczkowy: głowa mocno sklepiona, wąs nie byle jaki, duma i pewna zadziorność na obliczu. W 1863 roku oboje przystąpili do powstania styczniowego: ona szarpie gotowała dla rannych, on z parą tyjką krążył po okolicy, zapadając to w lasy to w zaprzyjaźnione majątki.

Z tego związku przyszedł na świat syn, ochrzczony jako Franciszek. Nawiązując co nieco do rodzinnej tradycji, leśniczym został w ordynacji Chrapowicza Putanego.

W tym czasie, a więc już przy końcu tamtego wieku, owdowiała właśnie pani Emilia Monnet zastanawiała się, co czynić dalej w Paryżu z kilkuletnią córeczką, dzieckiem ładnym, delikatnym i zwyczajowo wykazującym skłonności do sztuk pięknych. Pani Emilia nie posiadała majątku, lecz znała język francuski, co może i oczywiście, ale warte w tym wypadku podkreślenia. W XIX wieku francuski mógł się okazać życiową szansą, szczególnie na wschodzie Europy, gdzie ziemiaństwo upodobało sobie w parlowaniu. Zżymali się zresztą na to poeci narodowi, lecz nie mieli tak bardzo racji, albowiem sympatia dla romańskiej kultury miała swój dobry sens polityczny. Emilia Monnet pojawiła się ostatecznie w Polsce w domu Kossaków, gdzie, jak wiadomo, dość intensywnie zajmowano się kołmi. Zainteresowanie tym zwierzęciem było zresztą powszechne.

Pani Emilia została guwernantką dzieci Kossaków, wywiązując się z tego w sposób właściwy dla młodej wdowy z dzieckiem. Kiedy zaś skończyła misję, w nagrodę otrzymała dwie fotografie wychowawców — dzieci upozowane staran-

nie, ani cienia uśmiechu, jakby przykrojone do rodowego prestiżu — oraz doskonałe referencje i tzw. protekę na stanowisko nauczycielki języka francuskiego w I Wileńskim Gimnazjum.

To nawet ciekawe: wbijając w młode głowy „aksografy”, pisując wiersze, może tęskniąc po cichu do Paryża, Emilia Monnet zaczęła zbliżać się do wileńskich socjalistów. Innego przeciwieństwa zbliżenie miało zadecydować o dalszych losach tej kobiety.

Otóż przy końcu lat osiemdziesiątych na osobistym horyzoncie nauczycielki pojawił się znany nam już co nieco Franciszek Stankiewicz, leśniczy. Nie ulegamy złudzeniom semantycznym: leśniczy ordynacyjny to był ktoś nieźle ustawiony w życiu, także towarzyskim. Ze spotkania tych dwojga ludzi mogło zatem wyniknąć tylko jedno: małżeństwo. Nie był to przecież mariaż zwyczajny na owe czasy, jako że jeszcze kilka lat po tym fakcie pani Emilia nauczała w wileńskim gimnazjum. Młoda mężatka parająca się pracą zarobkową, to zjawisko nie takie znów powszechne. Czy była to kwestia konieczności życiowej, czy też nieśmiały refleks tendencji emancypacyjnych ogarniających, niestety, świat kobiety, trudno dziś ustalić.

Ostatecznie przeciw Emilia Stankiewiczowa opuściła wraz z córką Wilno aby dzielić los męża. W Wiśniczu w 1886 roku powiła mu syna Wincentego, później córkę Władysławę.

Stankiewiczowie kilkakrotnie zmieniali miejsce pobytu, lecz pani Emilia mocno dbała, aby nie tracić kontaktu z życiem kulturalnym Wileńszczyzny i Miśszczyzny. W domu leśniczego gościła Ródziewiczówna, Ruszczyk, Odyniec, często bywali pisarze białoruscy. Rozległe stosunki towarzyskie Stankiewiczów miały zresztą owocować w sposób bardziej namacalny: Maria, pierwotna córka Emilii, wyszła za mąż za Odyńca, Władysława poślubiła (w 1916 roku) Jana Łucwicza, który do historii literatury białoruskiej przeszedł jako Janko Kupała. Do kręgu bliskich znajomych należał również Stanisław Belza, redagujący w Warszawie w latach 1909—1912 tygodnik literacki „Ziarno”, na którego łamach pojawiały się m. in. utwory poetyckie Emilii i Władysławy.

W takiej atmosferze wyrastał Wincenty Stankiewicz, uczeń gimnazjum wileńskiego, który wraz z matką kolportował okresowo „Robotnika”, a w 1902

roku wraz z przyjacielem, synem gajowego, zrobił paskudny dowcip policmajstrowi Bakitce. Ten nieszczerzy funkcjonariusz, ordynarny łapownik, rozkazał wystrzelać psy, które pewnego dnia z rozszalałym skowytym zaczęły krążyć wokół wileńskiego pomnika Murawiewa — Wieszateła, zdezerwowane odorem wilczego sadła, rozmarowanego na cokole monumentu właśnie przez naszych gimnazjistów. Pech chciał, że pieski należały do elity carskich urzędników, a jeden nawet był własnością generał-gubernatora. Zdegradowano za ów fatalny rozkaz Bakitkę, o mało nie poszedł „w kamasze”...

Młody Stankiewicz był chłopcem postawnym, odważnym i witalnym — lubił z fuzyjką chadzać po lesie. W domu wychowywano go patriotycznie, w gimnazjum nauczano po rosyjsku. Reżim był wrogli, Białorusini przyjacielscy. Polacy dzielili się na prawych i na targowiczów. Ulice Wilna urwyły się w lasach, wieża Eiffla, którą miał okazję zobaczyć dzięki matce, przebijała niebo na wyrost. Katolicyzm rządził duszą, prawosławie miało swoje racje. Wolność była sprawą najważniejszą, ale socjaliści mówili także o wolności społecznej. A Wincenty Stankiewicz miał lat „naście” i już musiał się w tym wszystkim połapać, co z tego zrozumieć, uznać za swoje. Rodzice wskazywali wartości, które na ogół akceptował, ale zwyczajne życie także miało swój autorytet i moc dydaktyczne.

Jak dziś, tak i wówczas, powiedzmy w 1902 roku, udzielanie korepetycji było zajęciem intratnym. Stankiewicz z reguły nauczał potomków znanych rodów arystokratycznych czy po prostu bogatego ziemiaństwa. Miał głowę do matematyki i historii, niektórzy zaś panice mieli całkiem inne predyspozycje. Na przykład do klepania pokoiówek po posładkach, do polowania i tańców. Nie były to broń Boże, dzieci debilowate, po prostu pozycja społeczna zwalniała je z obowiązku pracy, choćby właśnie szkolnej. Początkowo Stankiewicz na serio traktował swoje powinności, lecz kiedy zorientował się, że nie wzbudza to entuzjazmu podopiecznych, a kwantum przekazanej im wiedzy nie ma najmniejszego wpływu na finalny egzaminu poprawkowego, przyjął postawę życiową. Znaczący to, że po przyjściu do salonu razem z paniczem oddawał się

## Aktor murzyński na scenie lubelskiej

Stefan Kruk

**J**ESZCZE w czasie pobytu w Warszawie Anastazy Trapszo zgłosił odpowiednim władzom projekt reorganizacji teatrów prowincjonalnych w Królestwie, który niestety, został odrzucony. Nie czekając więc na pomyślny wiatr, rzuca się w wir pracy od podstaw. W 1865 r. prowadził zajęcia z zakresu deklamacji w warszawskim Instytucie Muzycznym. Rok później, 16 czerwca 1866 r., przejeżdża do Lublina ze swoimi uczniami, a także z paroma bardziej doświadczonymi aktorami (Laskowska, German, Łapińska, Ortyński, Delchau, Cybulski), aby — z półtoramiesięczną przerwą jesienią — zabawić tutaj do końca marca 1867 r.

Obejmując kierownictwo teatru po rutynowanym dyrektorze Pawle Ratajewiczu, który grał wodewile, operetki, melodramaty, dużo krotocwil (ale także kilka komedii Fredry), Trapszo sięgnął po dramaty (grał m. in. „Marię

Stuart” Schillera) i komedie („Wesele Figara” Beaumarchais, „Śluby panieńskie” Fredry). Podniósł znacznie poziom repertuaru, choć gra aktorska w sezonie letnim, zwłaszcza w wykonaniu debiutantów, niejednokrotnie budziła zastrzeżenia sumiennego recenzenta „Kurier Lubelskiego”.

I oto w takiej sytuacji wspomniana gazeta ogłasza gościnne występy wielkiego tragika amerykańskiego Murzyna — I Aldridge'a. Jak do tego doszło?

Ira Aldridge urodził się w 1807 r. w Afryce środkowej. Był synem wodza plemiennego odsuniętego od władzy w wyniku buntu. W Stanach Zjednoczonych, dokąd rodzice niepewni jutra przeniesli się, młody Ira próżno usiłowało dostać się do zawodowego teatru — przed Murzynom drzwi gabinetów dyrektorskich są zamknięte. W 1825 r. ambitny syn Afryki wyjeżdża do Anglii, tam szukając bardziej humanitarnych warunków dla rozwoju swego talentu. Jakoż istotnie udaje mu się uzyskać debiut w Covent Garden w roli Otella. Próba kończy się pełnym sukcesem. W Londynie Aldridge występował u boku słynnego Charlesa Keana i za-

słynął — poza „Otellem” — w „Makbecie”, „Królu Learze”, „Kupcu weneckim”. Lubił podróżować, dał więc szereg gościnnych występów w Europie kontynentalnej (Bruksela, Kolonia, Berlin, Wiedeń, Budapeszt, Petersburg). Kilkakrotnie występował w miastach polskich: w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Łodzi (tu zmarł w 1867 r. i został pochowany na cmentarzu protestanckim).

Trapszo poznał Aldridge'a prawdopodobnie na początku lata 1866 r. w Warszawie podczas gościnnych występów murzyńskiego tragika na deskach teatru „Rozmaitości”. Spotkali się w „Otelu”, gdzie aktor polski grał Jagona. Teraz, w sierpniu tegoż roku, Aldridge kończył właśnie swoje tournée po Rosji. Korzystając z tej sposobności, Trapszo zaprasza wielkiego aktora, który zatrzymał się na krótki czas w Zytomierzu. Dyrektor tamtejszego teatru, znając plany Trapszy, wysłał telegram do lubelskiego przedsiębiorcy następującej treści:

„Donoszę panu w imieniu p. Aldridge, który mnie o to prosił, że debiuta

jego w Zytomierzu kończą się 13 sierpnia. Do Lublina przyjedzie 18 lub 20 sierpnia na parę tylko występów. Chęć pan sztuki, w jakich ma występować, wcześniej obsadzić i wyuczyć. Zapal, z jakim publiczność tu w Zytomierzu i w Kijowie przyjmuje tego artystę, trudny jest do opisanie: pomimo podwójnych cen reprezentacja jest przepelniona, a publiczność po każdym przedstawieniu literalnie zarzuca debiutanta wieńcami i bukietami, bo choć on mówi po angielsku, ale gra jego jest tak wyrazista, że każdy go pojmuje. Nie wątpię, że publiczność lubelska wdzięczna panu będzie za tę nową dla niej przyjemność”.

Dla przygotowania lubelskiej widowni do poważniejszego repertuaru, w jakim Aldridge zwykł występować, dyrektor Trapszo 12 sierpnia wystawia „Marię Stuart” Schillera.

Przyjazd zaś Aldridge'a został przyspieszony, gdyż 15 sierpnia wystąpił on w „Otelu” w teatrze Makowskiego (dzisiejsze kino Staromiejskie). Tragedia grana była w doskonałym przekładzie Paszkowskiego. Następnego dnia inscenizację tę powtórzono, albowiem mimo podwójnej ceny biletów była podczas pierwszego występu murzyńskiego Otella „ciekawych pomieścić nie mogła”. 19 sierpnia dano trzecie przedstawienie tej tragedii Szekspira.

Dzięki „Kurierowi Lubelskiemu” dysponujemy opisem kreacji Aldridge'a: „Dwa krańce ostateczne uczuć ludzkich toczą walkę w jednym sercu — wściekłość z miłością; dzięki w zapalczywości a słodki w nieścisłości. W tym wszystkim spokój. Zdawał by się powinno, że ten dziki potwór, nie człowiek, rozdrażniony w natłoczonym swoim uczuciu zamieni się w panterę z kłaki na zdobycz swoją wypuszczoną, że wściekłość miotany jak tygrys nad ofiarą swoją pastwił się bezdanie, tymczasem ta wściekłość w te-dzie, tymczasem ta wściekłość w te-dzie, dym susie całą moc swoją wyraża, pastwienie się zaś, dawanie ofiary, było czymś więcej jak potwornością, było miłością zczajonej niawy”.

A jak się spisali polscy partnerzy pierwszego czarnego Otella w historii

wspomnianemu poklepywaniu, czy też innym, miłym w końcu zajęciem które nie wymaga sprawności intelektualnej. A kiedy hrabina Korwin-Milewska przypominała, że „leciś musi zdać egzamin, korepetytor odpowiadał:

— Zamiast Miecia zda wstępny, bałant i Jekaterinka Niech klucznica Pelagia gotuje na jutro, proszaka, albo co, a panią łaskawie prozę o kopie.

No i w przeddzień egzaminu jechał Wincenty z Mieciem do Wilna, stawali na dobrej kwaterze, a wieczorkiem Stankiewicz kuchennymi schodami forsował(?) mieszkanie odpowiedniego belfra. Rozmowa z profesorem była krótka i odbywała się według raz na zawsze ustalonego schematu.

Stankiewicz, po pozdrowieniu cara i Pana Boga: — Hrabina przesyła padarok, wot, świnią i Jekaterinka.

Profesor, po przyjęciu mięsa i 100 rubli z wizerunkiem carowej Katarzyny: — Oj, kakisze charosze! Spasiba. Przyjdź jutro rano, wszystko będzie gotowe.

Nazajutrz Stankiewicz odbierał na kuchennych schodach pytania egzaminacyjne oraz... gotowe odpowiedzi! W tej sytuacji paniczowi nie pozostawało nic innego, jak zdać egzamin. Nasz dzielny korepetytor zyskał ostatecznie tak dobrą sławę, że dostąpił m. in. zaszczytu reperowania wiedzy szkolnej samego Eustachego Sapiehy, późniejszego ministra spraw zagranicznych RP. Nauczał także w domu Wańkowiczów, z Melchiorem stykając się

Jednak tylko okazjonalnie, jako że późniejszy autor „Ziela na kraterze” pracował już na samodzielnym stanowisku w administracji.

Bywało przecież że Stankiewiczowi także udzielano korepetycji, tyle że z zakresu erotyki, w czym specjalizowała się hrabina U. Powierając dydaktycznej opiece pana Wincentego własnego syna-gimnazjasta, nie zaniedbywała kobiecych obowiązków wobec młodego wykładowcy. Dodajmy przecież, że sprowadzało się to do kształcenia na szczeblu elementarnym tej sfery ludzkich emocji.

Poza tym światem tradycyjnych hierarchii, konwencji i pozorów, w który wdepnął Stankiewicz, rozwijała się po kryjomu całkiem inna rzeczywistość. Wybuchnąc miała rewolucja 1905 roku, lecz z jej pierwszymi oznakami zetknął się syn Emili znaczenie wcześniej, bo w 1895 roku, podczas nauki w gimnazjum wileńskim. Do tej szkoły uczęszczał także — o kilka lat starszy od Stankiewicza — pewien syn szlachecki o nazwisku Feliks Dzierżyński, który miał bawić w folwarkach, chętniej przebywał wśród robotników. Emilia Monnet nauczyła go francuskiego, ciesząc się — można przypuszczać — pewnym zaufaniem przyszłego rewolucjonisty. Od niej właśnie dowiedział się Wincenty, co takiego robi Dzierżyński poza gimnazjum z którego zresztą wystąpił w 1896 roku, i niedługo potem został aresztowany przez carską żandarmerię...

W 1902 roku Wincenty Stankiewicz przyjechał w czerwcu, na wakacje, do miasteczka Delatycze, gdzie właśnie mieszkali jego rodzice; ojciec prowadził roboty leśne i spław drewna tratwami po Niemnie. Pewnego wieczoru w domu Stankiewiczów pojawił się młody człowiek, prosząc panią Emilię o kilkudniowe schronienie i pomoc w dostaniu się do Kowna. Tym człowiekiem okazał się Dzierżyński. Pomoc otrzymał, dzielna nauczycielka francuskiego nie zlekkała się ewentualnych represji, techniczną stronę przerzutu powierzając synowi Wincentemu. Z tego zadania wywiązał się bezbłędnie. Przez myśl mu nie przeszło, że spotka jeszcze kiedyś Dzierżyńskiego...

Po ukończeniu gimnazjum, w 1904 roku wstąpił Stankiewicz na wydział technologii ceramicznej politechniki w Charkowie. Wyborem studiów kierowała rodzina, ale także — pozytywistyczne hasła pracy organicznej, zalecające robotę konkretną, ekonomicznie przydatną.

Dyplom inżyniera technologa otrzymał w 1907 roku, odbył praktykę a potem zaliczył jeszcze 6-miesięczny kurs ceramiczny w Moskwie. Kształcono jak widać ludzi solidnie i wszechstronnie, taki świeżo upieczony inżynier to był fachowiec pełną gębą, trudno było go „zagiąć” nawet starym praktykiem. Stankiewicz z miejsca zaczął pracę w produkcji, prowadził m. in. budowę klinkiarni. Po dwóch latach wysłano go na inspekcję klinkiarni wznoszonych w Guberni Lubelskiej. Odwiedził Białopole, Zamość, Budy i Izbię, a po przyjeździe do Lublina koleją, wsiadł do jednokonki przed dworcem i za 5 kopiejek dotarł na Plac Litewski.

Wsiadł i rozejrzył się dokoła: po jednej stronie zauważył kościół kapucynów po drugiej — wielką kopułą cerkiew... Siedział w mieście dwa tygodnie, zaglądał do kawiarni i urzędów, zapoznał się z prywatną klinkiarnią przy ul. Lubartowskiej, której produkt do dziś pokrywa plac przed katedrą...

Po powrocie z delegacji został dyrektorem państwowej klinkiarni w miejscowości Tupeżany, w czerniejowskiej guberni. Miał wówczas 23 lata. Otarł się o salony arystokracji. Był członkiem PPS.

W tym okresie „czarna sotnia” urządziła pogromy Żydów w pobliskim Homiu. Ludzie kryli się, gdzie mogli, kilkanaście rodzin żydowskich trafiło do Tupeżan, prosząc dyrektora o pomoc. Stankiewicz kazał wygasić 16 pieców ceramicznych; były to komory o czterometrowej wysokości, szerokości i długości, zaopatrzone w otwory. W tych ciasnych jamach ulokował zbiegów. Żywność dostarczał przez owe dziury... Niedługo potem zwała się do klinkiarni „czarna sotnia” Przepytują ludzi, wężą „Gdzie są Żydzi?!” przyciskają dyrektora. „A czort ich znajet!”. Pomarudzili jeszcze trochę, odjechali. Do dziś Wincenty Stankiewicz otrzymuje, co roku, „życzenia od szczerze oddanego Szczupaka”, który zapewne życie zawdzięcza potomkowi powstańców styczniowych i synowi Francuzki, która polskość uznała za naczelną wartość swojego życia.

W przeddzień wybuchu I wojny światowej pracował Stankiewicz w majątku Hipolita Gucewicza, budując gorzelnię. Był już żonaty, miał rocznego syna Stanisława, w prowincjonalnym Mołodecznie panował spokój, rodzina przyszłość zapowiadała się całkiem obiecująco. Pewnego dnia 1914 roku Gucewicz, szambelan dworu, wzywa Stankiewicza i krzyczy, że „Princip zabił Ferdynanda, wojna się zaczęła, tak niech inżynier jedzie do Mińska i sprowadzi dla mnie mundur i szynel właściwy!”. Gucewicz — „general, targowiczanie!” — przybrał wkrótce spodnie z szerokimi czerwonymi lampasami, na tyłku ozdobione wyszywami złotem klucznymi...

Natomiast Stankiewicz udał się na wojnę w znacznie skromniejszym przyodziewku, ale z równą niechęcią, jak jego pryncypał. Pierwszym etapem bitewnego szlaku była komenda rejonowa, prowadząca mobilizację. Jej szefem okazał się znajomy naszemu podporucznikowi wojsk saperskich, który za 25 rubli i butelkę wódki zamiast na front, skierował Stankiewicza do 16 Wojskowego Drogowego Oddziału. „U nich wsió Poljaki”.

Oddziały tego typu miały charakter pomocniczy, zajmowały się budową dróg i mostów strategicznych. „Szesnastym” dowodził inżynier Kazimierz Danowski, pochodzący z Siedlec, lecz dobrze znający Lublin. Na niego właśnie trafił od razu po zameldowaniu się w oddziale Stankiewicz. Pogadali o tym, o owym i w rezultacie inżynier technologicznie został adiutantem inżyniera budowlanego. Wspólnie zaczęli wojować — o czym opowiemy w najbliższym czasie.



Oficerowie 16 Wojskowo-Drogowego Oddziału. Piąty z lewej w ostatnim rzędzie — por. Wincenty Stankiewicz, trzeci z lewej w środkowym rzędzie — płk. Kazimierz Danowski. Zdjęcie wykonane w 1914 roku w miejscowości Ziabki koło Plocka prawdopodobnie przez fotografa Sudanowa (siedzi między kobietami, maszynistkami sztabu oddziału), przy pomocy aparatu na statywie, nastawionego „na czas”.

testru? Ich zadanie nie było łatwe, ale przechodzili siebie. Ludwika Laskowska w roli Desdemony „małą była w porównaniu (z Aldridge'm), ale wielką w sobie”. Trapszo grający Jagona „charakter tej postaci zamiast niekęmiłości nacechować, w żartobliwość przystroił”; kierowany więc instynktem rasowego aktora, stonował diaboliczność trudnej do przekazania roli.

18 i 21 sierpnia 1866 r. Aldridge dwukrotnie wystąpił w roli Szyloka w „Kucepu weneckim” Szekspira. Dało to — możliwość przesłuchania skali możliwości aktorskich wybitnego gościa. Recenzent pisał: „Szylok zupełnie to odrębny charakter od owego dzikiego syna skwarnej Afryki. Zdawałoby się, że tylko wściekłość, dzikość i fanatyzm (raczej należało tu mówić o szlachetnym buncie Murzyna, którego bracia cierpieli w wyniku przesądów rasowych białego człowieka — przypis S. K.) właściwym być może dla znakomitego tragika, że obce (sa) dla niego wszelkie inne uczucia. Tymczasem charakter Szyloka nie był żadną dzikością nacechowany, a jednak p. Aldridge dowiódł w nim, że wysoki talent swój nie jednym tylko rozwinął kierunku”.

Ze talent ten, aczkolwiek najwspanialej przejawiający się w tragedii, posiadał olbrzymie możliwości, dowodził fakt, iż na zakończenie swoich lubelskich występów Aldridge dwukrotnie występował w komedii „Pustoty hiszpańskie” Victora (22 i 23 sierpnia). Emploi, a więc dość konsekwentnie przestrzegany podział ról aktorskich na tragiczne i komiczne, a w ramach tego rozróżnienia wielka ilość wąskich specjalizacji (amant bohaterki, amant liryczny, komik, charakterystyczny, naiwna, kokietka itd.), wszystkie te kanony gry aktorskiej znane publiczności i dość w owym czasie surowo przestrzegane przez krytykę, utrudniały rozwój sztuki aktorskiej zmierzającej w kierunku realizmu, a tym samym przekreślały sztucznych podziałów. Wielkie indywidualności nigdy owym szablonom poddać się nie mogły. Jednakże publiczność, a z nią krytyka, bardzo w owych latach licząca się z gustem widowni,

sceptycznie przyjmowała wszelkie poczynania mające utworzyć drogę nowemu kierunkowi.

Obawy te streszcza następująca notatka kronikarska „Kurier Lubelski” z 25 sierpnia 1866 r: „Ogromne przejście z Otella do Munga (bohater komedii „Pustoty hiszpańskie”) nie konieczne dobrze nas usposabiło. Pod wrażeniem tak wysoko tragicznej roli Otella zdawało się, że komedia sprófanuje (podkreślenie moje — S. K.) całą jego świetność i urok, pod wpływem którego pragnęliśmy pozostać”. Dalej dziennikarz notuje miłe zaskoczenie, jakiego doznał po obejrzeniu spektaklu: „Tymczasem pomimo tak wielkiej różnicy w dwóch tych charakterach, wysoko wyrobiona gra p. Aldridge'a kazała nam zapomnieć o charakterze roli (czytaj — emploi), a podziwiać talent”.

Na koniec zapytajmy, czym było dla Lublina owych siedem występów genialnego Murzyna? Czy tylko wyczynną sensacją? A może także ważną nauką i to w podwójnym sensie? W bezsilnej wściekłości pierwszego czarnego Otella publiczność lubelska musiała odczytać urażoną dumę i deptaną godność poniżonego człowieka, którego bracia dopiero zaczynali się wyzwalać z pęt niewolnictwa. Ow „Negr” więc, występujący na deskach wielu scen Europy, krzewił ideę równości i braterstwa wszystkich ludzi. I po wtóre — styl gry Aldridge'a był lekcją dla zespołu aktorów Anastazego Trapszy. Ta lekcja nie została zmarnowana. Spoza kulis zapewne grę Aldridge'a w „Otelu” oglądał świeżo przybyły do Lublina Bolesław Leszczyński, w owym czasie jeszcze mało znany aktor, któremu dopiero szkoła Trapszy (pamiętajmy, że ten wybitny pedagog wykształcił takie indywidualności aktorskie jak: Solski, Tatariewicz, Rygiel, Roman, Helena Marcello i Adolfiną Zimajer) miała otworzyć drogę do późniejszej sławy. W Krakowie i w Warszawie, gdzie później Leszczyński występował, rola Otella interpretowana w sposób zbliżony do koncepcji Aldridge'a stał się jego popisową kreacją.



Obraz Andrzeja Kolodziejka

**P**RZYTOCZONE w tytule powiedzenie jest bez wątpienia niepoehlebne w odniesieniu do urody niewieściej. W zastosowaniu jednak do wyglądu fasad kamienic staromiejskich jest kulturowym świadectwem upiększających zabiegów, jakim niegdyś poddawano lica tych fasad. Fasada kamienicy, czyli główna elewacja, zawsze była przedmiotem szczególnej troski właściciela, wizytówką i transparentem jego możliwości, znaczenia społecznego, a nawet przekonań ideologicznych. Postawowym elementem było decorum fasady. Składały się na nie: detale dekoracji architektonicznej, sgraffito i malowidła ściennie. Dla osiągnięcia piękna fasady zgodnie z upodobaniami właściciela kamienicy angażowano artystów, kamieniarzy, dekoratorów i malarzy, którzy łącząc

## Wymalowana jak Stare Miasto

**Karol Majewski**

niezwykle kilka umiejętności, pracowali pod kierunkiem architekta, którego nazywano dawniej murażerem.

Pierwsze wzmianki archiwalne o malowaniu fasady kamienicy lubelskiej pochodzą z 1556 roku, kiedy to Jan Pictor Lublinensis zobowiązał się namalować front kamienicy za 7 złotych polskich. W przeciwieństwie do licznych cech muratorów działających w Lublinie w XVI i w pierwszej połowie XVII wieku, grupa malarzy była mniej liczna i — jak sądzi się — nie zrzeszona we własnym cechu. Malarze więc należeli do cechu muratorum et lapididarum (murarzy i kamieniarzy).

Srodowisko malarzy lubelskich jak i w ogóle malarstwo tego okresu nie jest dotąd opracowane naukowo. Tymczasem grupa malarzy lubelskich była wcale pokaźna. Występowały nazwiska polskie, przewijały się też często obce. W drugiej połowie XVI wieku działało kilku malarzy noszących imię Jan. Do nich należeli Jan Irsz vel Husz oraz Jan Wiercioszek — autor malowideł ołtarzowych u bernardynów lubelskich. Jan Husz (może należy to czytać Hus) mieszkał w Ratuszu i wykonywał między innymi jakieś prace malarskie w kamienicy Erazma Lubomelskiego. Można jednak tylko przypuszczać, że mogło tu chodzić o malowidła w tzw. winiarni, wykonane w 70-tych latach XVI wieku.

Jako malowidła o tematyce świeckiej reprezentują one humanistyczny aspekt kultury mieszczańskiej, złożonej wtedy narodowościowo. Odbiciem tej złożoności są m. in. zastosowane w winiarni przedstawienia emblematyczne z lemmatami w języku łacińskim i niemieckim. Tych ostatnich nie można jednak łączyć z rodowodem niemieckim, jak czyniły to opracowania z okresu okupacji i co powtarzano później lub przemilczano. Ich geneza jest prosta, jeżeli zastosujemy metodę ikonologiczną, opracowaną przez Panofskiego. Literatura emblematyczna była zjawiskiem obiegowym również w Lublinie. Tak jak szybko docierały humanistyczne księgi wydawane we Włoszech czy Holandii, tak też zjawiały się szybko wydarzenia z Norymbergi czy Frankfurtu. W księgozbiorach lubelskich mieszczan, liczących po kilkaset tomów, można spotkać w końcu XVI w. „Liber Emblematicus” Andrea Alciaty, jak również ilustrowane, modne wtedy, księgi emblematyczne wydane w Niemczech. Dla stworzenia jednolitej koncepcji treściowej winiarni — część przedstawień zaczerpnięto z wydania w języku łacińskim, a część z wydania w języku niemieckim, według upodobań właściciela kamienicy — humanisty Erazma Lubomelskiego, który przecież miał za sobą studia w Lipsku. Wykorzystanie kilku źródeł nie wpłynęło niekorzystnie na stworzenie zwartej koncepcji i manierystycznego wyrazu przedstawień wkomponowanych w repertuar stylizowanego ornamentu.

Spośród innych znaczniejszych malarzy działających na przełomie XVI i XVII wieku należy wymienić: Jana Szczerbica — autora znakomitych malowideł ołtarzowych w Końskowoli; Jakuba Tebaliego, pochodzącego z Bellinzony w północnych Włoszech, zięcia Mikołaja Przybyły z Kazimierza, domniemanego reżysera przedstawień dekoracyjnych na fasadach kamienic Przybyłowskich w Kazimierzu; Zachariasza Pawłowicza, autora malowideł w kościele bernardynów w Opatowie; Łukasza Laskowicza, Jakuba Ryczańskiego, Józefa Pudółko. Inny zaś lublinianin, Sebastian Majewski, zdobył rozgłos i uznanie na terenie Italii, wykonując tam liczne kompozycje malarskie.

W połowie XVII wieku działała w Lublinie jeszcze większa grupa malarzy, a wśród nich Jan Krzy-

stof Herman, malarz dominikański i Jan Tomasz Muszyński, malarz z serwitorem królewskim. Oba oprócz olejnego uprawiali malarstwo freskowe. Herman prowadził coś w rodzaju akademii malarskiej.

Należy jeszcze wymienić Floriana Ostrowskiego, Szymona Gryglewicza, Jana Prusa, Macieja Buglewicza, Wojciecha Przeworskiego, Alberta Kostkę, Jana Kwietniowicza, Marcina Blechowskiego (przybyłego ze Lwowa), Sebastiana Karpińskiego. Wszyscy oni tworzyli środowisko artystyczne nie zbadane jeszcze do dziś dokładnie. Wśród różnorodnych prac wykonywali i podrzędne. Nawet Tomasz Muszyński, malarz królewski, malował drzwi i okna, parapety, balasy kościelne, ławy i pobielal ściany. Zlecenia były różne — raz były to wzniosłe sceny religijne na tynku i płótnie, innym razem trzeba było namalować wybredną twarz książęcą — „Słyszał że się z jakiegoś malarza roboty naśmiewali nazywając go rzeźnikiem nie malarzem mówiąc, żeby mu kobyły malować nie Xiążęcia twarz”.

Dopiero ostatnio podjęto badania nad całokształtem problemów kamienic mieszczańskich w Lublinie. Powoli odsłaniają one ukryte w ciągu następnego stulecia wartości, które są świadectwem dawnej kultury artystycznej i duchowej. Odkryte ostatnio malowidła na oficynie kamienicy Rynek 6 przenoszą nas w następną epokę baroku. Odsłonięte fragmenty malowideł wykonanych zapewne w pierwszej ćwierci XVIII wieku wskazują na nowy styl dekoracji fasadowej, gdzie zastosowano iluzjonistyczne, modne wtedy, elementy zdobnicze, utrzymane w bogatej tonacji kolorystycznej szlachetnych czerwieni. Taka skala kolorystyczna uchodziła w baroku za najpiękniejszą. Kamienica Rynek 6 była od 1657 r. własnością seminarium duchownego, prowadzonego przez kolegium jezuickie.

Przybywają zabytki malarskie w technice freskowej, świadczące o nieprzerwanej tradycji tej sztuki. Malowidła takie we fragmentach odsłonięto niedawno w kościele poreformackim (obecny browar) i w klasztorze powiżytkowskim (Pstrowskiego 12), a ich apogeum stanowią freski Józefa Meyera w katedrze lubelskiej z 1757 roku.

Autora malowideł kamienicy Rynek 6 należy prawdopodobnie upatrywać w kręgu malarzy czy też projektantów jezuickich działających w Lublinie. Do takich należy Adam Delamars (+ 1729) i Jan Ignacy Delamars (+ 1719). Do rodziny Delamarsów należała sąsiednia kamienica, Rynek 7. Za autorstwem Jana Delamarsa przemawiałby fakt wykonania przez niego projektu iluzjonistycznych malowideł w kaplicy klasztornej w Krasnymstawie. Czy hipoteza ta ma szansę udowodnienia, mogą rozstrzygnąć dalsze badania.

W XIX w. wiele elementów dawnego piękna zasłonięto oplaszczowaniem i skarpami, zniszczono wiele attyk, przyszła moda na żeliwne balkony.

Proces rewaloryzacji dawnego piękna kamienic lubelskich rozpoczęto już przed 1939 r. pod kierunkiem ówczesnego konserwatora Józefa E. Dutkiewicza. Do porządkowanego na zewnątrz Starego Miasta wiele scen dekoracyjnych wprowadził m. in. malarz Szczepan Kowarski. Wybitnie fasadowy charakter miały prace prowadzone na Starówce w 1954 r. Częściowo w oparciu o przekazy historyczne, częściowo na zasadzie historyzującego projektowania wykonano prace budowlane i kosmetyczne. Większość fasad staromiejskich otrzymała wystrój malarski lub sgraffitowy w nawiązaniu do lubelskiej tradycji kulturowej w swobodnej interpretacji plastycznej i kolorystycznej z aktualizacją treściową współczesności.

Obecny program rewaloryzacji kamienic staromiejskich i polityka konserwatorska w zamierzeniu dąży do harmonijnego powiązania i konserwacji wszystkich dawnych najcenniejszych elementów dekoracji z osiągnięciami koncepcji plastycznej wprowadzonej współcześnie.

## CZYTELNICY MÓWIA

Godzenie obowiązków zawodowych z powinnościami człowieka prywatnego — oto kolejna kwestia, z jaką zwróciliśmy się do kilku osób z Lublina.

**Edward Dubel**  
oficer KW MO

Nie widać tu problemu, przynajmniej w moim przypadku. Inna sprawa, gdy ktoś ma na przykład troje dzieci. Wtedy od rana zaczyna się „bieg po zdrowie” — do żłobka, do przedszkola, do szkoły. Po pracy to samo. Gdy się nie ma babci w domu, można ducha wyzionąć. Ja jestem raczej domatorem i tak dzielę swoje życie między dom a pracę. Pracujemy z żoną w tej samej instytucji, tu się stajemy, robimy zakupy w kasynie — to wiele ułatwia i upraszcza.

**Helena Dudek**

kierowniczka kancelarii III Wydziału Sądu Powiatowego

Jak większość kobiet łączę obowiązki pracownicy, żony i matki. Bardzo trudna sprawa, ale wykonalna, choć praca z pewnością zajmuje najwięcej czasu, a przecież trzeba z dzieckiem do kina pójść, na spacer. Jeden syn chodzi do „zerówki”, drugi do IV klasy. Mąż mi pomaga w domu i jakoś sobie radzimy. Jestem pełna optymizmu.

**Tadeusz Kącki**

kurator lubelskiego okręgu szkolnego

Z takim stanowiskiem jak moje łączy się nie tylko obowiązek, ale również wybór określonych powinności, na przykład społecznych. Jeśli się już wyboru dokonało, to człowiek usiłuje potem robić jak najlepiej, choć może to brzmieć jak frazes. Do domu przychodzi nie wcześniej jak koło osiemnastej. Na szczęście dzieci mam już dorosłe (córka asystentką na uniwersytecie, syn robi maturę), a żona się po prostu przyzwyczaiła. Cieszę się i daję mi to dużą satysfakcję, gdy znajduję nieco czasu, aby poczytać biografie ludzi wielkich, powiedzmy de Gaulle'a. Wtedy odpoczywam, jeśli tego rodzaju lekturę można nazwać odpoczynkiem.

**Zbigniew Miazga**

dziennikarz „Sztandaru Ludu”

Wszyscy wiedzą, że trzeba te sprawy godzić, choćby ze względu na potrzebę harmonijnego rozwoju człowieka. A w praktyce na ogół rzadko komu owo „godzenie” się udaje, szczególnie gdy człowiek poważnie traktuje owe obowiązki służbowe i społeczne. Zresztą ja za chwilę jadę do Warszawy i może dokończymy tę rozmowę w innym terminie...

**Władysław Wójcik**

dyrektor „Domu Książki”

Mój zawód jest jeszcze gorszy niż herbata — wyciąga z człowieka wszystko. Gdy się już raz w życiu zacznie z księgarstwem, to bracie, wpadłeś. Księgarze to, za przeproszeniem, maniacy. Gdy się spotkają prywatnie, też o książkach rozmawiają. Odpocząć nie można w swoim środowisku. A ja? Cóż ja! W domu jestem dopiero koło dziewiątej wieczorem. Żona lamentuje: „Weź łóżko i przeprowadź się do pracy!” Tu nie może być mowy o jakimś łączeniu, zawód absorbuje całkowicie.



„Ziemia jałowa” pociągala mnie nie tylko swoją stroną poetycką, ale i problematyką kulturową i filozoficzną, surową diagnozą kryzysu cywilizacji światowej, wizją świata pogrążonego w pustkę i rozterce, przenikniętego rozpaczą. Ukazała się w 1922 r., a więc w okresie, kiedy duże wrażenie robiła szeroko dyskutowana słynna książka Oswalda Spenglera o upadku świata zachodniego.

T. S. Eliot wywarł olbrzymi wpływ na metody myślenia i odczuwania poetyckiego. Nie ma dziś osobistości — pisal znany krytyk i pisarz angielski, Wyndham Lewis — która by miała większy wpływ na sztukę i literaturę w Anglii i Ameryce, niż T. S. Eliot. Podobnie pisała wybitna angielska poetka Edith Sitwell wypowiadając opinię, że w 1917 r., z ogłoszeniem pierwszego tomu Eliota, zaczęły się, można powiedzieć, nowe rządy w poezji. Ważności tego wydarzenia nie sposób przecenić. Jeszcze mocniej podkreślił rolę Eliota we współczesnej poezji krytyk H. R. Williamson. Mr T. S. Eliot — pisał — bardziej niż ktokolwiek inny ze współczesnych indywidualnie przyczynił się do zmiany kierunku poezji angielskiej... Jego „Ziemia jałowa” z r. 1922 może być porównana z „Balladami lirycznymi” Wordswortha i Coleridge’a z 1798 r., zarówno jako punkt zwrotny jak i jako siła. Znany krytyk amerykański E. Wilson nazwał Eliota przywódcą duchowym swego pokolenia dodając, że miejsce Eliota jest wśród tych, nad których słowami zastanawiamy się z największą ciekawością i których głos pamiętamy najdłużej. Również i w Polsce wpływ Eliota zaznaczył się inspirująco zarówno w okresie międzywojennym jak i po 1957 r., w ostatnich kilkunastu latach wzrosła u nas liczba przekładów jego poezji i esejów krytycznych.

Osobiście, i to dosyć nieoczekiwanie, poznałem T. S. Eliota w Londynie w 1959 r. Gdy udawałem się do Anglii na badania naukowe w 1957 r. nie przeczuwałem nawet, że będę miał okazję rozmowy z autorem „Ziemi jałowej”. Pogrążony w rękopisach archiwów i bibliotek Londynu, Oksfordu i Cambridge, obracałem się w środowisku historyków brytyjskich, znawców historii Anglii XVI w., uczestnicząc pilnie w seminariach doktoranckich prof. Johna Neale, J. Hurstfielda i S. T. Bindoffa w Uniwersytecie Londyńskim. Czas miałem szczerze wypełniony pracą, żyłem w ciągłej obawie, że do końca stypendium nie zdolam zakończyć kwerendy archiwalnej, że nie wykorzystam wszystkich bogatych materiałów źródłowych do przygotowywanej wówczas książki pt. „Anglia a Baltyk w drugiej połowie XVI w.” (Ossolineum 1967, przekład angielski wyszedł w 1972 r. nakładem Manchester University Press).

Okres Bożego Narodzenia spędziłem w 1958 r. w pałacyku Cumberland Lodge, położonym tuż opodal zamku królewskiego w Windsorze. Znalazłem się tam z grupą kilkunastu naukowców z różnych krajów, przebywających w tym czasie na badaniach naukowych w Anglii. Dla nas to zorganizowała tam British Council święta Bożego Narodzenia, łagodząc dotkliwie uczucie osamotnienia, jakie odczuwa na Wyspach Brytyjskich cudzoziemiec w sposób szczególnie przykry. W Cumberland Lodge spędzaliśmy czas na spacerach po ogromnym i wspaniałym parku, na zwiedzaniu zamku królewskiego i słynnej kaplicy św. Jerzego w Windsorze (mieści się tam kapituła Orderu Podwiązki), ekskluzywnej szkoły publicznej w po-

bliskim Eton, na grze w cricketa, a przede wszystkim na długich i ciekawych rozmowach, prowadzonych do późnych godzin nocnych. Obok stypendystów zagranicznych przebywało w Cumberland Lodge kilku naukowców brytyjskich. Jeden z nich, zakonnik, był dobrym znajomym Eliota i gdy usłyszał o moich zainteresowaniach dla jego poezji przyrzekł, że postara się umożliwić mi spotkanie z wielkim poetą.

Nie od razu jednak doszło do spotkania i początkowo sądziłem, że przygodny znajomy zapomni o naszej przelotnej rozmowie. Rychło miałem się przekonać, że angielskie „postaram się załatwić” oznacza przeważnie coś

w naszym kraju, kwestię tłumaczeń i inscenizacji teatralnych jego sztuk. Orientował się w tych zagadnieniach znakomicie, wiedział nawet, że niektóre teatry studentów anglistyki miały w swoim repertuarze jego „Morderstwo w katedrze”, że dramat ten był wystawiany przez studentów anglistyki w Lublinie.

„Morderstwo w katedrze”, podobnie jak i wcześniejsza „Opoka”, jest widowiskiem okolicznościowym i popularnym. Sztuka została napisana w 1935 r. na festiwal, organizowany corocznie począwszy od 1928 r. w Canterbury i według intencji jego organizatorów miała uwzględniać jakiś wątek związany ściśle z dziejami katedry. T. S.

na ten festiwal, z którego dochód przeznaczony został na konserwację ogromnej katedry.

Szczegółowe zainteresowanie Eliota wywołała poruszona przeze mnie analogia pomiędzy zamordowaniem w 1170 r. arcybiskupa Becketa, a śmiercią biskupa krakowskiego Stanisława ze Szczepanowa w 1079 r. i jego sporem z Bolesławem Śmiałym, oraz wpływ historii zabójstwa Thomasa Becketa na ukształtowanie się w Polsce legendy na temat śmierci biskupa krakowskiego. Mówiła ona, że podobnie jak arcybiskup Becket miał też zginąć biskup Stanisław ze Szczepanowa na stopniach ołtarza zgładzony przez królewskich rycerzy. Wydaje się nie ulegać bowiem wątpliwości, że twórca pierwszej pasji św. Stanisława, Wincenty Kadłubek, wzorował się w tej kwestii na żywocie Thomasa Becketa.

Przy porównaniu obu tekstów rzuca się w oczy niewątpliwe podobieństwo okoliczności wydarzeń. W obu wypadkach sprawcą śmierci jest król. Thomas Becket ginie z rąk nasłanych rycerzy, zaś biskup Stanisław zostaje przez nich napadnięty. Zarówno biskup krakowski jak i arcybiskup Canterbury stają pod zarzutem zdrady, miejscem dramatu jest w obu wypadkach kościół. Pomiedzy obu pasjami, polską i angielską, istnieją dalej pewne zależności stylistyczne, warto też przypomnieć, że Wincenty Kadłubek odbywał w latach osiemdziesiątych XII w. studia we Francji i tam najprawdopodobniej zetknął się z kultem Thomasa Becketa. Pierwsze żywoty Becketa powstały w latach 1171—1185 i w tym okresie rozwijał się w Anglii i we Francji, gdzie Becket schronił się przed prześladowaniami króla Henryka II, żywy kult arcybiskupa Canterbury. Nie tylko mistrz Wincenty wzorował się w opisie śmierci biskupa krakowskiego Stanisława na angielskich żywotach arcybiskupa Becketa, ale nawet w pierwszym okresie po kanonizacji biskupa Stanisława korzystano u nas z liturgii Thomasa Becketa. Dodajmy, że u cystersów polskich rozwinięty był kult arcybiskupa angielskiego, że jeden z ich pierwszych na ziemiach polskich klasztorów — Sulejów, powstał pod wezwaniem św. Tomasza Becketa, że Wincenty Kadłubek pisał swoją kronikę w cysterskim klasztorze w Jędrzejowie.

Pod koniec rozmowy pokazał mi Eliot pięknie ilustrowaną książkę, filmową wersją „Morderstwa w katedrze”, stanowiącą podstawę ekranizacji dramatu, dokonanej przez G. Hoelleringa przy współudziale Eliota, który nawet użyczył swego głosu jednej z postaci filmu. Mówiąc o historii tej ekranizacji wielki poeta na chwilę się ożywił, wspominał różne epizody, pokazywał fotosy.

Nawet się nie spostrzegłem jak minęła godzina i wyraziłem wyrzuty sumienia, że zabrałem laureatowi nagrody Nobla tyle cennego czasu. Gdy zegnałem się z nim, zapisał sobie kurtuzyjnie mój adres i zaprosił do ponownego odwiedzenia go, gdy będą następnym razem w Anglii. Do ponownej wizyty jednak nie doszło. Gdy przybyłem do Londynu po kilku latach, Eliot już nie żył. Wcześniej jednak mogłem się przekonać, że zapisał on sobie w 1959 r. mój adres nie tylko pro forma. Na otrzymanej na Boże Narodzenie 1960 r. świątecznej kartce z wydrukowanymi przez firmę Faber and Faber dowcipnymi rysunkami, znalazłem, nie wierząc własnym oczom, własnoręczny podpis T. S. Eliota.

Henryk Zins

Fragment książki Henryka Zinsa pt. „W świecie anglosaskim” (w druku w Wydawnictwie Lubelskim).

## Spotkanie z T. S. Eliotem

znacznie więcej niż niejedno gorące zapewnienie, wypowiedziane w niektórych innych krajach w kategoriach i pełnej zakłęb formie. Kartka przysłana po dwóch tygodniach informowała o chorobie Eliota, a późniejszy list o jego wyjeździe do Francji. Wreszcie po kilku dalszych przepaszających listach otrzymałem upragnioną wiadomość, że laureat nagrody Nobla będzie mnie oczekiwał w określonym dniu i godzinie w wydawnictwie Faber and Faber, którego był od lat literackim kierownikiem.

Mimo iż firma Faber and Faber mieści się tuż obok Instytutu Historii Uniwersytetu Londyńskiego, w dniu tym dużo wcześniej opuściłem bibliotekę instytutową, przechadzając się w pobliżu starego gmachu na Russell Square, w którym znajdowało się wydawnictwo T. S. Eliota. Z doświadczenia nie ufałem numeracji domów londyńskich, zwłaszcza od czasu, gdy spóźniłem się o 15 minut na wizytę (w Anglii jest to niemal skandal) przekonany, że po nr 20 powinien być nr 22 domu, w którym mieszkał mój znajomy. Okazało się jednak, że z ową ulicą działa się rzeczy niezwykle i dopiero po dłuższym forsownym marszu dotarłem wówczas do poszukiwanego domu. Teraz jednak, na Russell Square, ostrożność moja nie była konieczna. Długo jednak krążyłem po rozległym skwerze, by punktualnie o godzinie 4 po południu zgłosić się w biurze wydawnictwa. Uprowadzona o mojej wizycie sekretarka od razu zaprowadziła mnie do windy, podając numer pokoju Eliota.

Pierwsze moje wrażenie po wejściu do małego gabinetu poety było zupełnym szokiem. Zamiast wyprostowanej sylwetki przystojnego, w pełni sił mężczyzny, tak dobrze mi znanej z licznych reprodukcji, znalazłem się oko z przygarbionym nieco starcem, o pomarszczonej twarzy i znużonych rysach, które nie prawie — poza orlim czy też sępiem nosem — nie miały wspólnego z tym obrazem dumnym i młodym, jaki przez lata przechowywałem w swojej wyobraźni. Spotkałem Eliota przycisniętego, schorowanego i zmęczonego życiem (miał wówczas 70 lat).

Słowo „Polska” od razu naprowadziło Eliota na sprawę znajomości jego dzieł

Eliot wybrał na temat sztuki męczeńską śmierć arcybiskupa Canterbury Thomasa Becketa, poniesioną w 1170 r. z rąk siepaczy króla Henryka II, któremu nie chciał podporządkować arcybiskup Becket spraw kościelnych. Sztuka ta, grana najpierw w katedrze, a następnie w teatrze Mercury w Londynie, doczekała się wielu wydań i tłumaczeń oraz szeregu inscenizacji. Wersja filmowa z 1952 r. otworzyła dla niej świeże możliwości w oparciu o nowoczesne środki wyrazu. Zdobyła popularność, mimo iż nie była pomyślana jako sztuka „komercyjna”, a Eliot zawsze był uważany za poetę bardzo trudnego i hermetycznego. Publiczność zresztą od razu zauważyła aktualność utworu i nie traktowała go jako dramatu wyłącznie historycznego. Oceniała też prostotę planu architektonicznego dramatu dominującego — jak w gotyckiej katedrze — nad mnogością kunsztownych szczegółów.

Byłem wówczas świeżo pod wrażeniem wycieczki do grobu Thomasa Becketa w Canterbury, gdzie długie chwile spędziłem na zwiedzaniu słynnej katedry, sięgającej początkami XI w., przypominając sobie tragiczny konflikt arcybiskupa Becketa z królem Henrykiem II, będący osnową wspaniałego dramatu T. S. Eliota. Starożytna katedra wraz z całym Canterbury, będącym od VI w. kościelną stolicą Anglii, stanowi od wieków miejsce szczególnej adoracji, do czego w dużej mierze przyczynił się kult Thomasa Becketa, źródło nie jednej inspiracji religijnej i literackiej w historii kultury angielskiej. Od bardzo dawna udawały się na wiosnę do Canterbury gromady pielgrzymów „from every shires ende” (z najdalszych zakątków hrabstw), tak jak w najwspanialszym literackim dziele angielskiego średniowiecza, w „Opowieściach kanterberyjskich” G. Chaucera. Dzisiaj udają się tam rzesze turystów, tam też corocznie urządza festiwal Towarzystwo Miłośników Katedry w Canterbury. W rozmowie ze mną, mówiąc o genezie swego dramatu „Morderstwo w katedrze”, przypomniał T. S. Eliot, że napisał go właśnie

Zapisane między Łabą a Renem (3)

**W** CZASIE podróży mogliśmy się zorientować, że w Republice Federalnej Niemiec, a także w Berlinie Zachodnim, powstały i działają z mniejszą lub większą aktywnością niemiecko-polskie stowarzyszenia.

Niektóre z tych stowarzyszeń współdziałają z miejscowymi teatrami, jak np. w Saarbrücken, gdzie w czasie „Dni Polskich” wystawia się co roku polską sztukę, często inscenizowaną przez polskiego reżysera. W Monachium, a nawet w Kolonii, wystąpienia takie są bogatsze, bardziej wszechstronne, niż w ośrodkach wyłącznie przemysłowych,

## Ludzie dobrej woli

Tadeusz Jasiński

ale i w tych ostatnich zaobserwowaliśmy zjawiska budzące nadzieję. Dziś już jawnie rzadko napada się w prasie na działaczy pragnących głosić prawdę o współczesnej Polsce. Niemniej jednak i tu jest potrzebna pewna odwaga, jako że tym działaczom można szkodzić w różny sposób, niekoniecznie jawnymi atakami w druku.

Przebywając w Hamburgu, poprosiłem o rozmowę jednego ze znaczniejszych działaczy, prezydenta zarządu Niemiecko-Polskiego Stowarzyszenia, które działa tam od kilku lat, pod nazwą: Deutsch-Polnische Gesellschaft in Hamburg, doktora Hanno Jochimsena. Przyjmuje mnie on w ratu-

szu, w którym mieści się rząd Wolnego i Hanzeatyckiego Miasta Hamburga. Dr Jochimsen jest bowiem na co dzień radcą prasowym senatu tego grodu. Mój rozmówca jest mężczyzną szpakowatym, bardzo podobnym do Curda Jürgensa. Ma 45 lat, wojnę jak i całe dzieciństwo spędził na pograniczu

Dokończenie na str. 13

Kamena str. 7

nia „dział” wykonanych ręką bardziej sprawnych zawodowców.

Z pewnością w sygnalizowanym rozroście rynku kolekcjonerskiego nie bierze się pod uwagę faktu, że większość oferowanych do sprzedaży skarbów posiada rodowody ledwie przekraczające jedno stulecie. Modny stał się XIX wiek. Zainteresowaniem cieszą się obecnie wszystkie bibeloty, na które jeszcze dziesięć lat temu nie zwracano uwagi. Domośli kolekcjonerzy gotowi są kupić każdy przedmiot, posiadający patynę wieków, wszystko, co choć trochę przypomina staroście. A przecież polski handel starzyzną skądinąd znany jest ze swej prężności w lataniu dziur podażi, zwłaszcza wtedy, kiedy klient żąda i płaci nie zastanawiając się zbyt nad pochodzeniem towaru. Błędem byłoby twierdzenie, że w Polsce nie istnieje mniej lub więcej zgodna współpraca kolekcjonerów, fałszerzy i wszelkiej maści pośredników. Rośnie liczba kopii i fałszowań, znajdując w chałupniczym kolekcjonerstwie „atwóść” szybkiego zysku.

Swoją drogą słyszałem głosy ludzi kompetentnych, nawet fachowców w dziedzinie kolekcjonerstwa, którzy nie bardzo mogą pojąć wstręt do kopii. W końcu praktyka fałszowania, nazwijmy to delikatnie: kopiowania — jest tak stara, jak stara jest historia kolekcjonerstwa. Nie gardził wątpliwymi machinacjami Michał Anioł. Rubens na zlecenie wysoko postawionych osobistości opracowywał obrazy innych malarzy i wykonywał kopie, Andrea del Sarto namalował na zamówienie obraz niejakiego Rafaela Ji Santi, zwanego dziś Rafaellem. A niewątpliwie wszystkich przewyższył Benvenuto Cellini, przyznając się w opisie swojego żywota do sporządzenia „wielu cacek w antycznej manierze, niemożliwych do odróżnienia w zestawieniu z oryginałami”. Od tysięcy lat na całym świecie fałszowano wszystko, co tylko mogło dać pożądany efekt finansowy.

Natomiast samo określenie „fałszerstwo” jest nowszej daty. Prawnie uznane zarzuty o plagiat pojawiły się w wieku XVII, a dopiero w roku 1735 Hogarth przeprowadził w parlamencie angielskim ustawę chroniącą prawo autorskie w odniesieniu do inwencji wizualnej.

My ze swej strony wyrosliśmy w pogardzie kopii. Szanowany zabytek traci natychmiast na wartości, jeśli padnie nań cień podejrzenia o brak autentyczności. Skłonni jesteśmy zachwycać się dziełem sztuki i temu samemu dziełu potrafimy odmówić mocy oddziaływania po usłyszeniu, że jest to kopia, nawet jeśli wykonanie jej dorównuje oryginałowi.

Szeroko znane są wydarzenia z muzealnych poletek na zachodzie Europy, kompromitujące historyków sztuki, konserwatorów, badaczy. Jeśli do dzisiaj podzielone są zdania na temat autentyczności Megerenowskich Vermeerów czy Rembrandtów, to kto potrafi wyłowić fałszyki mniej szandarowych artystów, których techniki malarskiej nie opracowano w głośniejszych monografiach?

Istnieją precyzyjne metody oznaczania autentyczności, lub — jak kto woli — wykrywania fałszykatów dzieł sztuki. Dotyczy to zarówno fałszowanego malarstwa jak i zabytków archeologicznych czy rzemiosła artystycznego. A jednak często wybuchają naukowe dyskusje polegające na wzajemnym odmawianiu sobie racji. W wielu takich sporach poważną rolę odgrywają zakulisowe przetargi, machinacje, niejednokrotnie powiązania i zależności między antykwariuszami a sławami naukowymi.

Jednocześnie szeroko dzisiaj komentowana jest mała precyzja działania „mędrcza szkiełka i oka”. Zawodzi zegar archeologiczny, nad którym zachłystywano się w latach pięćdziesiątych. Zastosowana w nim metoda izotopu węgla C 14 miała precyzyjnie określić wiek zabytków, w których można wykryć ślady tego izotopu. Dziś wiadomo, niestety, że na regularny bieg zegara ma wpływ wiele czynników, między innymi zmieniające się często natężenie promieniowania kosmicznego i że błędy wskazań często przekraczają kilka stuleci. Metody fotograficzne, rentgenowskie, badań składu chemicznego materiałów są najczęściej sposobami pośrednimi do których potrzeba jeszcze ogromu wiedzy z różnych dziedzin, pozwalającej na wzajemne wiązanie faktów. A przecież i w takich wypadkach badanie może być zawodne.

W Bayerisches Nationalmuseum w Monachium eksponowano przez wiele lat interesującą rzeźbę św. Jerzego, charakterystyczne dzieło szkoły tyrolskiej z lat około 1480. W roku 1927 oświadczone, że owo gotyckie arcydzieło jest niewątpliwie grubym

falsyfikatem z XIX wieku. Święty Jerzy powędrował do składów muzealnych. Ponowne badania zrehabilitowały arcydzieło, przywracając mu dawne miejsce w muzeum. Niezawodne wyniki badań wykazały, że chodzi niewątpliwie o pracę z lat około 1480. Które z obu, bezwzględnie pewnych? Twierdzeń jest naprawdę bezwzględnie pewnych? W odpowiedzi na to badacze z wydziału chemicznego uniwersytetu w Brukseli dowiedli, że w analizie stosowanej przez Coremęnsa syntetyczne żywice wykazują te same reakcje, co autentyczne średnio-wieczne spoiwo.

Przykłady takie można by mnożyć w nieskończoność. Skromniejsze chyba jednak jest nasze rodzinne podwórko. A może brakuje nam tylko naukowców do staczenia wielu autorytatywnych sporów? Nigdy nie mogłem wyjść z podziwu nad łatwością, z jaką nasze uprawnione do tego instytucje skupują dzieła sztuki. A może Polska jest jedynym krajem na świecie, w którym autentyczne kopie dostępują takich samych splendorów jak identyczne autentyki?

Spróbowałbym zapytać o to któregoś z kustoszy, lecz obawiam się, że poruszony świętym oburzeniem i burzliwością sarmackiej krwi gotów by mnie obieć nie bacząc na szacowne otoczenie. Wydaje mi się, że ekspertyzy na autentyczność poddawane są obrazy, czasem grafika i wykopaliska archeologiczne, najrzadziej natomiast sprawdzane są zabytki metalowe. A przecież w tym właśnie wypadku najłatwiej o fałszerstwo. Skład chemiczny, sposób obróbki niektórych metali, używanych do celów artystycznych, rzadko ulega zmianie na przestrzeni dziejów. Od wieków używany jest brąz, srebro i złoto o takim samym składzie chemicznym, jakie spotykało się 500 lat temu czy nawet dzisiaj. W dziedzinie złotnictwa przeciętnie uzdolniony grawer potrafi wykonać puncę złotniczą do sygnowania wyrobów. Wzorów dostarczą mu katalogi i publikacje, które wyraźnie określają, za jaką sygnaturę można uzyskać pożądany efekt finansowy. Sprzyja temu fakt, że na polskim rynku kolekcjonerskim częściej poszukuje się przedmiotu sygnowanego głośnie nazwiskiem, aniżeli dzieła o niezaprzeczalnej wartości artystycznej.

Jakie szanse w walce z zalewem kopii mają polskie muzea okręgowe i regionalne, jeśli najczęściej tam stosowanym sposobem badania zabytków jest — oglądanie? Jakże szanse mają prywatni zbieracze, nie dysponujący często nawet doświadczeniem?

Stanisław Witucki

## Rzeczywistość i literatura

Stanisław Jan Królik

**M**AJA rację autorzy „Świata nie przedstawionego,” gdy piszą: *Książka ta nie powstała w próżni. Jej sojusznikiem i zarazem surowym recenzentem byli nasi koledzy i przyjaciele, uczestnicy ciągle trwającej dyskusji.* Do tego stopnia posiadają rację, iż pragnie się przypomnieć książkę, która powstała w podobnej sytuacji: „Antologię poezji społecznej”, wydaną w Wilnie w roku 1933, a zainicjowaną przez żagarystów. Pozornie trudno o mniej cech wspólnych. W przypadku tomu Kornhausera i Zagajewskiego mamy do czynienia ze zbiorem szkiców i artykułów na tematy literackie, „Antologia poezji społecznej” była tematycznym zestawem wierszy wielu autorów.

Po dokładniejszej jednak obserwacji można wspólną płaszczyznę odnaleźć. I w jednym i w drugim przypadku istniała nie porozumienia między ludźmi, których konkretne utwory literackie tyle samo dzieli, co łączy. Wspólny front nie eliminuje różnic estetycznych, lecz wplata je do rozwiązywania problemów natury ogólniejszej.

Kornhauser i Zagajewski sytuują „Świat nie przedstawiony” (przy pomocy adekwatnego cytatu ze „Szkiców krytycznych” Eliota) w kręgu publicystyki tworzonej przez autorów innych odmian literatury, zawierającej zatem — implícite — program literacki. Warto przypomnieć inną myśl Eliota z tego samego źródła pochodzącą. Pisał on, że nauczył się najwięcej od autorów dzieł przeciętnych, w związku z tym —

zapewne — dla negatywnej egzemplifikacji własnych założeń, a nie dla samego wprowadzenia korektury wartości na giełdzie literackiej, przyjdzie często odnaleźć w „Świecie nie przedstawionym” (tytuł pochodzi od tytułu głośniego szkicu Adama Zagajewskiego, opublikowanego na łamach „Młodej Kultury”) zdecydowaną krytykę pewnych postaw i realizacji artystycznych. Przywoływanie Eliota będzie zaś nie asekuracją, lecz podstawą dla zaostrenia kryterium stosowanego przy odbiorze książki.

„Świat nie przedstawiony” już w samym swoim układzie różni się od prac autorów nawet tego samego pokolenia, do którego należą Kornhauser i Zagajewski. Zrywa zatem z natrętnym (staropolonistycznym) podziałem dychotemicznym, który tak razili np. w „Ironii i harmonii” Stanisława Barańczaka. Podział materiału nie jest przypadkowy, skoro czytamy: *Kolejną próbą debiutu kultury jest dzisiejsza młoda literatura, poezja i publicystyka nowego nurtu. Poezja wysunęła się w tym ruchu naprzód. Publicystyka krytycznoliteracka występuje jeszcze w fałszywym stroju terminologicznym, w peruce słownictwa małego strukturalizmu, jak kiedyś nazywał ten kierunek Ryszard Krynicki. Nieufni mogą przemówić każdą niemal techniką współczesnej literatury, zadufani mogą ukryć się w poetyce lingwistycznej, katastroficyści mogą drzeć nad lekturą żagarystów, a ekspresjonisci mogą wpaść w rutynę. Publicystyka nowego nurtu powinna poddać się takiej samej rewizji języka, jaka dokonała się w poezji. Inaczej będzie językiem niedostosowanym, spetryfikowanym, domagającym się szyderstwa ze*

strony jakiejś nowej odmiany poezji lingwistycznej.

Spośród licznych celnych stwierdzeń, na jakie można natrafić w artykułach omawianych autorów, ten fragment wydaje się szczególnie cenny. Dokumentuje samoświadomość autorów, co nabiera znaczenia wobec wypowiedzi o charakterze programowym. Ponieważ znajduje się tuż przed końcem dzieła (s. 198) — czyni poglądy otwartymi, prezentując niewątpliwie program (fragment programu) — likwiduje potencjalny dogmatyzm.

Wielość funkcji, które musi spełniać literatura (ograniczmy jeszcze bardziej: poezja i publicystyka), nakłada ograniczenia. Tak więc poezja „światopoglądowa” zestawiana opozycyjnie wobec poezji „poetyckiej” (które to rozróżnienie podaje i uzasadnia A. Zagajewski, „Miesięcznik Literacki” 1974 nr 5) musi — ponieważ w takiej postaci istnieje — być światopoglądowa, ale musi również być poezją, z konsekwencją pewnej nawet jeżeli swoistej „poetyckości”. Prowadzi to do niebezpiecznego kompromisu, nawet jeśli zrozumiałe jest, iż mowa tylko o supremacji pewnych cech nad innymi. Podobnie ma się sprawa z publicystyką, która spełnia zbyt wiele założeń, by nazwać ją reprezentatywną dla pokolenia.

Nie tylko negatywna egzemplifikacja wyjaśnia (upraszczając), że pragną realizować to, z czym niewystarczająco skutecznie borykało się pokolenie „Współczesności” oraz to, co realizowane było pozornie, w deklaracjach. Tam skierowane są najostrzejsze ataki (najlepiej „ropracowane” postawy to: Bryll, Grochowiak, Harasymowicz, Nowak), a nie — przykładowo — w kierunku Pauksty, Fleszarowej-Muskat, Zuckrowskiego, Putramenta czy Machajka, nieskończenie bardziej czytanych, a z którymi trudno by się było pokoleniu końca lat sześćdziesiątych — zatem także Kornhauserowi i Zagajewskiemu — utożsamiać.

*Poezja Szyborskiej, Herberta, Różewicza towarzyszy poszukiwaniom pełnego głosu. Takie jednak są losy najnowszej literatury, że każde pokolenie jest niesprawiedliwe. Powraca do pierwszych, najważniejszych problemów i chce sobie dodać powagi ignorując dokonania tych, którzy już kiedyś tu byli.* Uzasadnienie takiego właśnie katalogu nazwisk (właściwie: postaw i realizacji), które bliskie są autorom „Świata nie przedstawionego” to fakt, iż słusznie uważają zwalczanie pozorów za podstawowy i pierwotny obowiązek młodego pokolenia, a nie pokrewieństwo konwencji czy stylów. Takie właśnie, konsekwentne ustawienie skali wartości, a nie względność na daty urodzenia, powoduje, że zestawienie ukazanych w książce reprezentantów młodego pokolenia uwzględnia nazwiska: Ewy Lipskiej, Stanisława Barańczaka, Krzysztofa Karaska, Ryszarda Krynickiego, Jarosława Markiewicza, Leszka Moczulskiego (wymieniłem w kolejności prezentowanej przez autorów). Od siebie dodam do tej listy Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego, co uwzględni zasadę przyjętą przez nich, to znaczy obecność na rynku księgarskim pozycji książkowych w. w. autorów w momencie oddawania tomu do druku oraz — korzystając z poprawki, jaką naniósł czas — Włda Jaworskiego. Będziemy mieli w ten sposób listę osób (chciałbym, aby była ona otwarta nie tylko na nowe gatunki literackie), które przy zasadniczych niejednokrotnie różnicach stylów łączy aktualnie: szczerze uczestnictwo w rzeczywistości dnia dzisiejszego, bo z uwzględnieniem demaskacji wad istniejących oraz — by posłużyć się tytułem zapowiedzianego tomu Zagajewskiego — konstrukcja nowego świata.

„Świat nie przedstawiony” jest książką cenną. Nie ukrywa bowiem zawartego programu za parawanem naukowego języka, lecz — wręcz przeciwnie — pozwala odkryć nazwane obiektywnie problemy i problemiki ogólne w swojej często pełnej emocji, zatem i subiektywizmu, kadencji zdań. Nowa treść jest wypowiadana nowym językiem.









# Oko- -tęcza -szkła -ki

## Free and Love

**W** SALACH wystawowych leżą tzw. „Złote Księgi”. Wpisują się do nich różni ludzie, wyrażając swoje opinie o eksponowanej obok twórczości malarzkiej, graficznej etc. Tak przynajmniej wygląda to na pierwszy rzut oka. Faktycznie jednak „Złote Księgi” są terenem autoprezentacji. Uwiecznianie siebie na płotach czy w toaletach jest zajęciem kłopotliwym, a scenariusz deprecjonuje owe pisarskie wynurzenia. Poza tym gładko podpisać się — imieniem i nazwiskiem — pod najbardziej nawet wzniosłym hasłem, jeśli kreśli się je w ustępie. Elastycznie traktując pewne konwencje obyczajowe, sam nie miałbym odwagi na tego rodzaju dokumentowanie własnego istnienia.

Więc „Złote Księgi” mają powodzenie. Oczywiście, nie jest ono zbyt wielkie, co także zrozumiałe, jako że zachowania skrajne są u nas raczej rzadkie. Poza tym Tomek K. przebywa od kilku lat w Paryżu, a lokatorzy domów przy ul. Narutowicza w Lublinie zapominają już powoli o słynnym „Bólu”, czyli obandażowaniu wierzchołków drzew rosnących przy tej ulicy, którym w celach hodowlanych obcięto korony. Nie ma komu prowokować opinii, nawet Klaus Groh, który pokazał w marcu w „Labiryntach” swoje tekstowo-illustracyjne informacje, czy refleksje nad światem, nie wzbudził większego zainteresowania, co nawet przykre i dziwne. W warszawskiej „Galerii Współczesnej” (dawnej Boguckich) pokaz dokumentacji działań Groha spowodował większe zainteresowanie. Można jednak podejrzewać, że przyczynił się do tego Tomasz Kawiak, także biorący udział w tej wystawie.

W tej sytuacji proponuję państwu lekturę cytatów ze „Złotej Księgi”, wyłożonej w lubelskim Biurze Wystaw Artystycznych. Leży sobie i czeka na litościwe pióro — Państwa także.

„Nie wiedziałem, że kol. L.D. dorabia na pół etatu u polewacza luster” — zdumiewa się pewien pan na widok fotografii znanego członka ZPAF, który manipulując lustrami, robił zdjęcia; swego czasu poświęciłem im nieco miejsca w felietonie, który spotkał się z druzgocącą oceną innego młodego fotografa, specjali-

zującego się w produkowaniu ciekawych kolorowych widoków ukochanego osiedla.

„Panie Szczepański, mam stary biustonosz na zbyciu” — informuje malarza anonim, zapewne płci żeńskiej, zapewne dość zamożny oraz chętny do nawiązania kontaktu towarzyskiego z artystą wychowanym w szkole Kantora.

Pan Piotr Strelnik proponuje definitywne rozwiązanie problemu nadmiernej liczebności Związku Polskich Artystów Plastyków. Widać nie zadowolają go ostatnie reformy, które zmierzają do przekształcenia ZPAF ze związku zawodowego w związek rzeczywiście twórczy, wzbudzając zresztą obawy w młodym pokoleniu artystów. Tak bardzo się ich obawiają, że wykukali ostatecznie coś w rodzaju „karty praw młodego artysty”, która zapewnia im specjalne nagrody, wystawy, stypendia osiedleńcze, przydziały pracowni, bezpłatną opiekę lekarską oraz sto innych radości. Młodzież jest widać przekonana, że wartościowa twórczość jest zwykłą wypadkową sytuacji materialnej. A oto propozycje P. Strelnika:

„Panowie! Po każdej waszej wystawie czy to indywidualnej czy zbiorowej, stwierdzam z satysfakcją, że możecie Panowie rąbać drzewo, tłuc kamienie na bruk i tym podobne prace wykonywać, ale nigdy malować! Tudzież odbierać ambitnym twórcom pole działania.”

Nie śmiem przypuszczać, że autor tej deklaracji należy do grona owych „ambitnych twórców”, których się nie dopuszcza.

„Panowie artyści, to je czyste dno” — stwierdza „Niewidzialna ręka”. Niewyrobione pismo wskazuje, że mamy do czynienia z bednarzem, albo co...

Niestety, w „Złotej Księdze” spotykamy również demonstracje, jakby to łagodnie określić, mitomanii. Oto student UMCS ocenia i oferuje: „Wystawa prezentuje żenująco niski poziom, jak na profesjonalistów tej miary. Proponowałbym zorganizować wystawę prac studentów kierunku wychowania plastycznego z UMCS-u. Gwarantuję większy rozdziałek”.

Zaciekawieni sensem owego „rozdzielku” pozostawiamy go przecież na uboczu, koncentrując uwagę na propozycji studenta. Właściwie nie, precz z uwagą, westchnijmy jeno po cichutku: mój Boże, jak trudno ludziom spojrzeć na siebie samych realistycznie. Widziałem te „prace studenckie”, przynajmniej z zażenowaniem...

Kiedy już odwołujemy się do realnego widzenia świata, jako jedynej owocnej metody poznawczej, zacytujmy wypowiedź innego rodzaju, czyli pochlebną; trzeba dodać, że wynurzenia apologetyczne stanowią co najmniej 50 proc. zawartości „Księgi”.

„Będąc stałą bywalczynią wszelkiego rodzaju wystaw w naszym BWA, czas wreszcie, by uwagi swoje wpisać. Wszystkie pozostawiały niezatarte wrażenie, lecz chyba największe — malarstwo E. N. a zwłaszcza jego martwe natury...”

Przytoczeniem hasła uczniów PLSP w Lublinie — „Free and Love” — kończę felieton, napisany w nieco świątecznym nastroju.

IJK

Aleksander  
Jański

# WYCHODZENIE Z ZAŚCIANKA

**C** O może okazać się najlepszym lekarstwem na zbyt wolne tempo życia kulturalno-światowego? — pytał mnie i siostrę moją rozmówcy w czasie kilku dni spędzonych w powiecie bilgorajskim. Nie ode mnie oczekiwali jednak odpowiedzi, sami bowiem postawili nie tylko pytanie, ale i posłać mając przemyślaną receptę. To nic, powiadają, że mówi się o naszym mieście i powiecie, że należy do lepszych w województwie. Ocenę lubelskie nas cieszą, jednak pragniemy równać w górę. I zaraz wtedy wyłania się potrzeba posiadania warunków odpowiednich do dobrej roboty. Inni wyrażają poglądy, że niezależnie od warunków istota sprawy tkwi w ludziach i to bynajmniej nie tylko w tych na etatach. Pogląd ten prezentował mi zastępca kierownika Wydziału Oświaty i Wychowania, Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki, (uff!), jaka długa nazwa! Urzędu Powiatowego w Bilgoraju, podinspektor Kazimierz Buczek, głosząc ideę społecznostwa w dziedzinie kultury. Jeżeli 71 pracowników różnych placówek powiatu nie może i nie będzie mogło podolać, potrzebni są pomocnicy nieetatowi.

Potem już stałe te dwa wątki przewijały się w różnych rozmowach. Z tego, co mi powiedzieli sekretarz propagandy KP PZPR — Czesław Dycha, dyrektorzy Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej oraz Powiatowego Domu Kultury — Maria Stoczyńska i Józef Złotkiewicz wynika, że niezależnie od bieżącej realizacji programu obecnego roku kulturalno-oświatowego, pilną sprawą jest powiększenie bazy lokalowej. Od ludzi zależy najwięcej, to prawda, ale trzeba im stworzyć warunki do pracy. Dowodnie o tym świadczy wzrost czytelnictwa w mieście i w tych miejscowościach powiatu, gdzie zorganizowano gęstszą sieć punktów wypożyczalni. Np. w samym Bilgoraju Biblioteka Miejska otrzymała siedzibę w ratuszu, piękne pomieszczenia ma także Biblioteka Dziecięca. Chociaż więc powiat dysponuje jedynie 18 tysiącami tomów, notuje rocznie około 300 tys. wypożyczeń. A o ileż lepsze mogłyby być te wyniki, gdyby poprawić warunki lokalowe w Goraju, Lipinach, Krzeszowie Górnym, Józefowie i innych miejscowościach? Nie ma jednak zaplecza na gromadzenie księgozbiorów. Powiat przekroczył zakłętę 3 złote ogólnopolskie i w roku 1973 zakupił do bibliotek publicznych książek za 4 złote i 13 groszy na jednego obywatela. Rok miniony był nawet nieco lepszy. Ale naczelnicy niektórych gmin zaciskając kcięk, równocześnie argumentują: gdzie pomieścimy tyle książek? Rozglądam się po skromnych 2 izdebkach Powiatowej Biblioteki. Co w nich można pomieścić oprócz pracowników? Jak opracowywać księgozbiory? Jak prowadzić pracę instrukcyjno-metodyczną? Wprawdzie po remoncie Urzędu Powiatowego wiele placówek kultury znajdzie siedzibę w starym budynku Komitetu Powiatowego, ale to potrwa co najmniej rok.

Na tego rodzaju rozwiązania nie może jednak liczyć Powiatowy Dom Kultury. Był to pierwszy obiekt użyteczności publicznej wybudowany po wojnie w Bilgoraju. Wtedy wszystkim budowała ta wydawała się potężnym gmachem i PDK mógł przez wiele lat poprawnie spełniać swoją rolę. Jednak miasto się rozrosło, a ludzie mają inne wymagania niż dawniej. Jedni chcą być jedynie konsumentami kultury, ale już też na wysokim poziomie. Inni chcieliby znaleźć tu forum dla pokazania własnych uzdolnień. I jest ich znacznie więcej niż dawniej. Tymczasem dziś w PDK ciasnota jest wielka. Chór Ziemi Bilgorajskiej, zespół wokalny, muzyczny, orkiestra dęta, soliści, kursy tańca towarzyskiego, ognisko pracy pozaszkolnej, klub seniora, zespół instrukcyjny ZNP i inne drobne sekcje. Wiele jest też roboty w dziedzinie instruktażu, poradnictwa i spraw organizacyjnych. Placówki terenowe na to czekają. Byłoby jednak o wiele lepiej, gdyby PDK mógł pełniej prowadzić codzienną działalność dla całego miasta. Tymczasem obecnie o wiele lepsze warunki ma bodaj najlepszy GOK w województwie lubelskim — w Tarnogrodzie.

W tej sytuacji dawno już powstał program łagodzenia, a potem radykalnego zmienienia sytuacji lokalowej kultury w mieście i powiecie. Najbardziej ambitne było postanowienie o wybudowaniu dużego PDK. Lata jednak mijają, a środków finansowych i kredytów na ten cel nie można zdobyć. Więc przed trzema laty zaczęto szukać rozwiązania poza środkami budżetowymi rad narodowych. Zwrócono się do miejscowych przedsiębiorstw i instytucji, aby wspólnym kosztem wybudować międzyzakładowy dom kultury, który zarazem spełniałby funkcje powiatowego. Szefowie sprawie przyklasnęli, czynniki społeczne tych zakładów sprawę poparły, ale gdy przyszło co do czego, niewiele z tego entuzjazmu wynikło.

Jedynie Włosiankarska Spółdzielnia Pracy podeszła do sprawy poważnie, jak zawsze zresztą do spraw kultury podchodziła. Pozostałe zgłosiły symboliczne, czasem śmieszne kwoty. Np. niemałe przedsiębiorstwo, Lubelskie Zakłady Ceramiki Budowlanej, zadeklarowało, że będzie wpłacać rocznie aż 5 tys. złotych. Interesowałem się, czy robotnicy tych zakładów pracy, najczęściej młodzi ludzie mają gdzie spędzać wolny czas. Nie mają. Przedsiębiorstwa te i instytucje tłumaczą się, że musząłożyć poważne kwoty na własne świetlice, jednak przy bliższym poznaniu tych lokalów okazuje się, że są to salki konferencyjne z emblematami i hasłami nie zmieniającymi od lat, najczęściej zresztą zamknięte. Wspomniane już LZCB w ub. roku wydały 40 tys. złotych na występy Estrady Lubelskiej, na które i tak wielu poszłoby za własne pieniądze, 130 tys. na wycieczki, ćwierć miliona na poprawę własnej bazy lokalowej i 80 tys. na jej wyposażenie. Zakład zaś nie posiada żadnego zespołu artystycznego, sportowego lub upowszechniania wiedzy, nie ma z prawdziwego zdarzenia biblioteki.

Waldemar Michalski

## MILCZĄC PRZED PERGAMOŃSKĄ WENUS

PIEKNA czas w marmurze zastygły  
w kłomrach stalowych spięty  
poddany nokturnowi ciszy i podziwu  
opowiadaj. W krótkich okiennych  
przelatują pośpieszne pociągi  
słychać skrzek mewy choć matka  
z najwyższej kolumny nie widać.  
W oczach błękit zbladły  
i usta w połowie słowa zamilkło  
spalono marmur na wapno  
jak ciała na popiół.

Dokąd prowadzisz — jak ci uwierzyć  
a jak zapomnieć trzeba?  
Z kredowym obliczem  
w marmurze obecna i żywa  
ponad stopy ofiarne  
i hekatombę łez i krwi.  
Tysiące ludzi jak cienie  
wokół kamiennych ołtarzy.  
Tysiące niemych lub okaleczonych  
może orężem a może głupotą  
tylko ty spod brandenburskiej wieży  
taka tu boska i pełna nadziei  
i ja choć z garbem goryczy.

Kamena str. 12







